

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 14 lutego 1960 r.

Nr 6 (102)

Cena 1 zł

JACEK  
LEBEN



## Z perspektywy MARS A

Ziemia widziana z Księżyca jest podobno wielką czerwona kulą. Ziemia widziana z Marsa jest chyba małym punkcikiem na niebie. Będę zazdrościł człowiekowi, który pierwszy spojrzy na Ziemię z Księżyca. Jeszcze bardziej będę zazdrościł temu kto spojrzy na nią z Marsa. Co pomyśli ów człowiek, który oderwany od Ziemi, opuściwszy klębowisko 2,5 miliarda istnień ludzkich z ich tysiącami namiętności i milionami konfliktów, zobaczy tę Ziemię jako punkcik w niezmiernych przestrzeniach wszechświata?

Nie wiem dokładnie, co pomyśli, to zależy od człowieka, ale sądzę, że pomyśli o tym, że te ziemskie konflikty wydają się z tej perspektywy mniejsze tak jak i cała Ziemia. I że dobrze byłoby, gdyby wszyscy ludzie mogli spojrzeć z tej perspektywy, co on, a wówczas być może łatwiej byłoby na ziemi i o ład, i o spokój.

Ow astronauta pomyślałby chyba również i o tym, że ten niewidoczny mieszkaniec Ziemi — człowiek — mrówka jest jednak istotą potężną, skoro potrafił zbudować potężne stacje kosmiczne i rakiety wdzierające się w głąb wszechświata.

Sądzę jednak, że można na razie „zostawić” tego człowieka na Marsie i podumać nad tym kiedy wyląduje on tam w rzeczywistości po to, by mógł myśleć i działać.

Właśnie to, co zdarzyło się w ostatnich tygodniach, miesiącach, pozwala sformułować pytanie „kiedy?”, zamiast „czy?”. Na Księżycu spoczywa kulisty przedmiot z rosyjską nazwą Lunnikiem. W ton Oceanu Spokojnego wpadł ostatni człon radzieckiej rakiety kosmicznej, która przebyła 12,5 tysiąca kilometrów. Uczeń całego świata są niemal pewni, że rakietę tego typu jest w stanie wynieść automatyczną stację międzyplanetarna na orbitę Marsa czy Wenus. Sądzą nawet, że stanie się to niedługo, w ciągu najbliższych miesięcy.

Przed przeszło dwoma laty, kiedy wrzeli na orbitę ziemską pierwszy radziecki satelita, czołowi politycy Zachodu powiedzieli: musimy nadrobić dystans dzielący nas od Związku Radzieckiego; nie przystąpimy do rokowań zanim znów nie będziemy mogli rokować z „pozycji siły”. Według ówczesnych danych amerykańskiego wywiadu Związek Radziecki „odsadził się” w badaniach rakietowych od Stanów Zjednoczonych o 2 lata.

Minęły dwa lata, zakończone zostały próby na Pacyfiku. Wywiad amerykański donosi, że Związek Radziecki „odsadził się” od Stanów Zjednoczonych o dalsze dwa lata. Dwa plus dwa równa się cztery.

Politycy Zachodu wyrazili zgodę na rokowania ze Związkiem Radzieckim. Prezydent Eisenhower zaprosił do siebie premiera Chruszczowa i przyjął jego zaproszenie na odwiedziny w Związku Radzieckim. 16 marca zaczęła się konferencja na szczycie. Niemala w tym zasługa twórców radzieckich rakiet. Mężowie stanu Zachodu zdali sobie bowiem sprawę z tego, że w najbliższych latach nie odrobnią rakietowych zaległości.

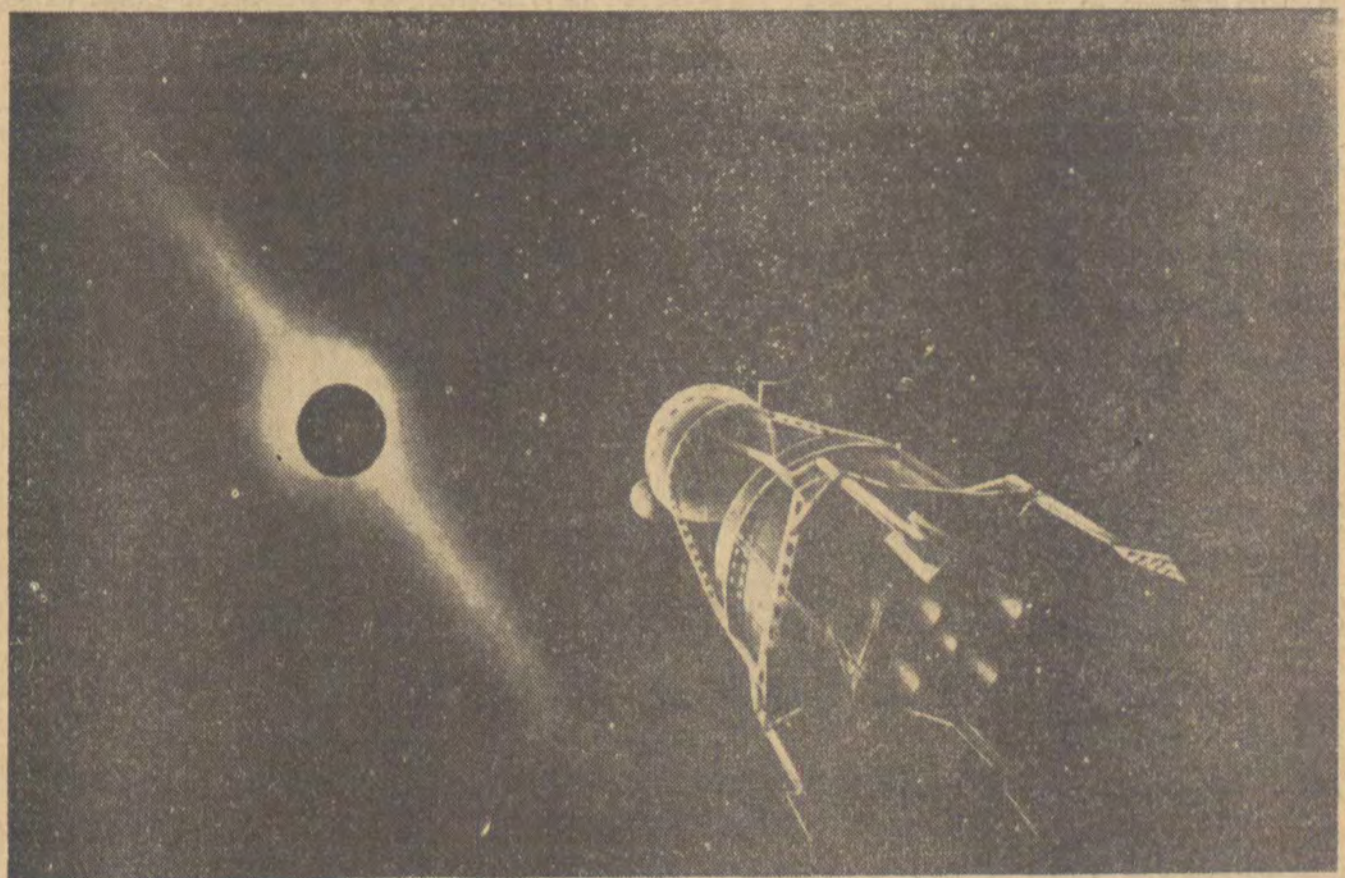
Wydaje mi się, że radziecy mężowie stanu spoglądają na Ziemię z kosmicznego poziomu, z poziomu, jaki mogą osiągnąć w najbliższym czasie radzieckie rakiety. Radziecy mężowie stanu znają potęgę tych rakiet. Rozumieją, że te same rakiety, które w celach pokojowych wdzierają się w kosmos, użyte dla celów wojennych, mogłyby zniszczyć świat, spieścić tę małą kulę ziemską, rysującą się z

Dokończenie  
na str.  
2

Dozwolone od lat 18  
Francuska ankieta o miłości — str. 8



Dziewczyna z Klubu Studenckiego w Łodzi



Ostatni człon rakiety, kryjący w swym wnętrzu automatyczną stację przekaźnikową, zbliża się do księżyca. (zdjęcie z „Wiedza i Technika” nr. 56)



Nasza szkoła

# TELEWIZOR NIE KREDENS

W Łodzi można, jeśli się chce, poczynić kilka ciekawych obserwacji dotyczących z pozoru struktury zakupów, a w istocie rzeczy spraw głębszych. Punktem wyjścia do tych obserwacji może być ankieta przeprowadzona w Łodzi na terenie kinematografii. Okazało się z niej, że jedna trzecia robotników iódkich oglądających filmy odbiera je przy pomocy telewizji.

Jest to liczba zadziwiająca. Statystyka wykazuje ile w Łodzi jest w ogóle telewizorów. Nie mówi jednak nic na temat, kto telewizory posiada. Czyli mówiąc prościej, nie wiadomo np., ile jest „utelewyżnionych“ rodzin robotniczych w Łodzi. Wszakże obserwacje miarodajne, bo sprzedawców w sklepach z telewizorami, dowodzą, że udział klientów robotniczych w zakupach tych sprzętów z łufickim na świat jest nikły. Telewizor wciąż jest drogą i przede wszystkim zaopatrują się w niego wolne zawody, inicjatywa prywatna, personel inżynieryjno-techniczny i górne warstwy urzędnicze.

Cytowana ankieta kinematografii i inne badania dowodzą, że struktura zakupów nie pokrywa się ze strukturą odbioru, zaś potoczne obserwacje świadczą, że warstwa ludzi utelewyżnionych nie jest tą grupą, która telewizora najbardziej łaknie. Jednym słowem kupują ci, co mają pieniądze, ale posiadają telewizora, ulegają telemanii przede wszystkim reprezentanci zawodów „nieinteligentnych“ — że użyję anachronicznej zgola nomenklatury.

W okresie mniej więcej miesiąca przeprowadziłem kilkadziesiąt rozmów na ten temat z różnymi ludźmi. Wyniki tej chałupniczej ankiety brzmią jednoznacznie. Telewizor, pralka, lodówka stanowią przedmioty pierwszoplanowego pożądania w środowiskach inteligentnych dopiero wówczas, kiedy rodzina jest porządnie ubrana i ma wszystko, co w tej dziedzinie potrzeba (tj. np. pan domu cienne ubranie, pani domu pelisę bądź „misia“ itd.) oraz kiedy mieszkanie jest umeblowane, wyściełane i ozdobione. Poza tym telewizor zwykle nie występuje na pierwszym miejscu pożądanych tylko, czy też już dokonywanych „inwestycji“. Raczej wymienia się tu pralkę, potem lodówkę, (gdyby teraz było lato pewno by się kolejność odwróciła) — potem dopiero telewizor, o ile rozmówca w ogóle chce tolerować w mieszkaniu takiego „złodzieja czasu“ — co nie jest regułą.

Natomiast w środowiskach robotniczych przede wszystkim pożądanym jest telewizor, potem inne domowe maszyny elektryczne, a garderoba (wyjąwszy młodzież przedmażeńską) czy meble stawiane są na dalszym miejscu. Robotniczy ideał „dorobienia się“, zdecydowanie ucieleśnia się więc w elektrycznych maszynach użytkowych, a nie w pożądaniu



# RADY I KŁOPOTY

Nawiązując do artykułu Zbigniewa Chylińskiego, zamieszczonego w „Odgłosach“ Nr 1, z dnia 10. I. 1960 r. chcę w imieniu organizacji kobiecej podziękować za dedykację skierowaną pod adresem Ligi Kobiet. Oleszym się bardzo, że w ostatnim czasie na łamach prasy pisał się dużo na temat pracy zawodowej kobiet, ich obowiązków domowych, trudności życia codziennego. Szczególnie trudne są warunki kobiet zatrudnionych w przemyśle włókienniczym, pracujących na dwie i trzy zmiany, kobiet pracujących w różnych instytucjach i zakładach, poświęcających codziennie wiele godzin na dojazdy do pracy, na zakupy. Kobiety matek krzątających się do późnych godzin wieczornych przy pracach domowych — szyciu, praniu, porządkowaniu.

Dzisiaj widoczne jest duże zainteresowanie tymi problemami nie tylko ze strony samej organizacji, ale i prasy, radia, rad narodowych i partii. Propozycje „Odgłosów“ są niewątpliwie bardzo słuszne i zrealizowanie ich może tylko kobietom przynieść pomoc. Chcę podkreślić, że są one organizacją znane (poza wspólnym zakupem telewizorów) i w działalności społecznej w terenie podejmowane. Jednak przyjmują się one z dużymi trudnościami, nieraz oporami, na co wpływa wiele obiektywnych przyczyn. Chodzi mianowicie o organizację samopomocy sąsiedzkiej. Na podstawie dotychczasowych spostrzeżeń należy stwierdzić, że większość mieszkank narzęgo miasta utrzymuje bardzo serdeczne stosunki sąsiedzkie pomagając sobie wzajemnie w wielu wypadkach. Pomoc ta ma charakter luźny, niezorganizowany, wynikający z dobrych, sąsiedzkich stosunków, uprzejmości i umiejętności współżycia. Tęgo rodzaju pomoc dostrzegamy w wielu rodzinach, domach, blokach.

Natomiast takich form pomocy sąsiedzkiej, jakie proponuje redaktor Chyliński,

jest o wiele mniej, i często przy organizowaniu jej napotyka się na trudności. No, bardzo ciekawą i potrzebną formą jest opieka nad dziećmi, organizowanie koleżeńskich dyżurów, podczas których pozostali członkowie rodziny mogliby pójść do kina, teatru itp. Niestety, mało kto godzi się na organizację tego w swoim mieszkaniu. Cała trudność polega na uzyskaniu odpowiedniego lokalu, w którym można by było organizować spotkania mieszkank dla omawiania interesujących zagadnień i porozumiewania się, rozwijania różnych form pracy społecznej i zajęć. Piszę o tym na podstawie konkretnych przypadków spotykanych w działalności organizacji. Byłam gościem niejednego zebrania zorganizowanego w prywatnym mieszkaniu. Nie to przygotowań, zakłopotania w związku z tym, że u pani Ikskiej odbył się zebrański sąsiedzki!

Mąż wychodzi z domu, dzieci nie odrabiają lekcji, stara babcia siedzi w kąciezku i niecierpliwie czeka na zakończenie, syn z kolegami stoi przed domem wysyłając młodszą siostrę z zapytaniem, kiedy się to skończy itp. itp. A ileż mamy rodzin 4-5-osobowych, mieszczących się w jednej izbie! Rodziny zajmujące po kilka pokoi, chętnie wypożyczają mieszkania na zebranie organizowane od czasu do czasu, ale nie zgodzą się na częste spotkania, gdyż dezorganizuje im to życie rodzinne, a przede wszystkim po pracy chcą w spokoju odpocząć. To są przykłady spotykane w praktycznej działalności organizacji i tak to często wygląda. Dlatego też zasadniczą trudnością widzimy w braku pomieszczeń, które są niezbędne dla podobnych poczynań i organizowania samopomocy sąsiedzkiej wśród mieszkank Łodzi. Łatwiej jest latem, kiedy korzysta się z ogródków i podwórza, natomiast jesienią i zimą występują poważne trudności. Mówią nam o tym kobiety — społecznie,

które podejmują tego rodzaju prace w terenie i mają poważne trudności.

Podkreśliła to w swej wypowiedzi i sekretarz KŁ PZPR tow. Michałina Tatarówna - Majkowska w artykule „O miescie, w którym żyjemy“ (Odgłosy Nr 2), mówiąc, że „muszą się także znaleźć lokale — pokoje zwłaszcza w nowo budowanych blokach mieszkalnych, na zebrania domowe i oglądanie programów telewizyjnych“. Jest to zasadniczy moment w rozwijaniu pomocy sąsiedzkiej i zacieśnianiu więzi między mieszkańcami i dlatego na to musimy wszyscy zwrócić uwagę. Ciekawą ilustracją do powyższego, stanowi świetlica komitetu blokowego przy ul. Sanockiej 24. Tamtejsi mieszkańcy mają niedużą świetlicę w suterenu, mało i schludnie urządzone, a o wynikach pracy można napisać obszerny artykuł. Tam przyjmują się ciekawe formy działania społecznego, a mieszkańcy biorą udział w zebraniach sąsiedzkich.

Kończąc, chcę podkreślić, że jako przedstawicielka organizacji kobiecej jestem jak najbardziej przekonana o słuszności i potrzebie podejmowania i inicjowania samopomocy sąsiedzkiej, która wielu kobietom i rodzinom przyniesie konkretną pomoc w życiu codziennym. Wskazalam jedynie na trudności dlatego, żebyśmy wspólnie dążyli do pokonywania ich i stwarzania lepszych warunków dla działalności społecznej w miejscu zamieszkania.

Liga Kobiet w całej rozciągłości popiera propozycje „Odgłosów“ i przystąpi do pełnej realizacji ich w terenie. Niemniej sama organizacja nie będzie w stanie podjąć dość trudnym poczynaniom i liczy na pełne poparcie i udział rad narodowych, Komitetów Frontu Jedności Narodu i terenowych grup partyjnych.

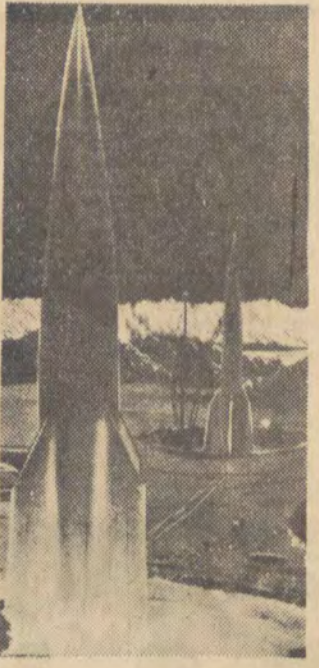
JANINA MACKIEWICZ  
sekretarz ZŁ LK

# Z perspektywy Marsa

(Dokończenie ze str. 1)

perspektywy Marsa jako mały punkcik. Właśnie dlatego rząd Związku Radzieckiego wzywa do rozbrojenia. Związek Radziecki podjął decyzję w sprawie jednostronnej demobilizacji miliona dwustu tysięcy żołnierzy. Związek Radziecki stał na to, zmniejszając o jedną trzecią stan liczebny swojej armii. Związek Radziecki daje jeszcze jeden dowód pokojowych intencji. Mijamy nadzieję że czelowi przywoły Z Zachodu, prezydent Eisenhower, premier Macmillan.

torze Konradzie Adenauerze. Kanclerz Konrad Adenauer był ostatnio u Papieża. Mówił tam „o misji narodu niemieckiego na Wschodzie“. Mówił to zapewne nie z poziomu ery atomowej w której żyjemy, ale z perspektywy przeszłości. Patrzył nań wielki, gdy mówił o „misji narodu niemieckiego na Wschodzie“. Miał zapewne na myśli zakutych w stal rycerzy Marchii Brandenburskiej i rycerzy zakonu krzyżackiego, których płaszcz widział przed rokiem nie bez kozery w katedrze Sw. Stefana w Kolonii. Miał zapewne na myśli żołnierzy Kajzera Wilhelma w piket-haubach i zmotoryzowane dywizje Wehrmachtu. Miał co wspominać doktor Adenauer. Ale można wątpić, czy wyciągnął należyte wnioski z tego jaki spotkał te wszystkie „misje“ na Wschodzie.



W księżycowej bazie rakietowej. Szereg pojazdów międzyplanetarnych utrzymuje regularną łączność z Ziemią.

(Zdjęcie z „Wiedza i Technika“ nr 56)

prezydent de Gaulle, zdołają również wyrwać się z klębowiska sprzecznych tendencji, tradycyjnych poglądów, politycznych namiętności i spojrzą na ten mały niepodzielny glob ziemski z tego samego punktu widzenia, z jakiego nań spoglądają mężowie stanu Związku Radzieckiego.

Co do jednego tylko polityka Zachodu nie można mieć złudzeń. Mowa o dok-

dóbr zaspokajających potrzeby reprezentacyjne.

Rola stroju i mebli zawsze była przede wszystkim pokazowa, reprezentacyjna. Czyż więc ten czynnik w jakimś sensie snobistyczny ustąpił miejsca sprawie wygody życiowej ucieleśnionej przez telewizor, pralkę itd.? Niezupełnie. Owe maszyny w mieszkaniach robotniczych, składających się przeważnie z pokoju i kuchni, stawiane są w zasadzie w pokoju, mającym bardziej reprezentacyjne znaczenie (oczywiście, mówię tu o prakkach). Zdobi się je wazonikami i makatkami, jednym słowem, mają one nie tylko służyć wygodzie, konkretnemu swojemu przeznaczeniu, ale również świadczyć o stopie życiowej właściciela, w jakiś sposób pełnić rolę palmi, oleodruku, mebli na wysoki polysk i temu podobnych akcesoriów. W tych środowiskach posiadanie telewizora nadaje w opinii publicznej jakąś rangę. W fabryce ludzie nie utrzymujący ze sobą stosunków towarzyskich wiedzą nawzajem, kto ma telewizor, nawet wtedy, gdy poza tym nic o sobie nie wiedzą.

Użytkowo ważką jest tu bezpośrednio sprawa telewizji. Obserwacja potwierdza się wszędzie: środowisko robotnicze jest bardziej żądne telewizora, najchętniej ulega telemanii, najszybciej asymiluje tę nową formę transmisji.

Wynikają stąd dwa wnioski użytkowe. Jeden — to sprawa programu telewizyjnego, rzecz wielokrotnie już podejmowana w prasie, której nie walcować nie zamierzam. Drugi — to kwestia rozprzestrzeniania się odbioru telewizji i sterowania go na środowiska robotnicze.

Nie jestem miłośnikiem formy „telewizor“ w świetlicy, jako ułatwiającej sprawę. Telewizor z istoty rzeczy jest zwierzęciem domowym i nie może być traktowany na równi z kinem, do którego „się chodzi“. Przeciwnie. Po to jest telewizja, żeby pani Dziedzic i Artur Rubinstein i ten i ów minister przychodzili do każdego do domu. Cała rzecz więc w tym, by tych łuficków, przez które wymienieni mogliby przychodzić, było w mieszkaniach robotniczych jak najwięcej.

Wiele pokoleń przedtem wykazywać się musiało meblami, palmami i pelisami. Są to rzeczy o kapitalnym znaczeniu kulturowym. Pierwsza jaskółka świadcząca o tym, że warstwa robotnicza przestaje uważać tradycyjny model mieszczańskiego dobrobytu za formę społecznego awansowania i przedmiot życiowych pragnień. Za nikłe są to wszakże obserwacje, żeby ciągnąć ten temat.

Pisaliśmy w „Odgłosach“ z powołaniem się na praktykowane sposoby — o możliwości sąsiedzkiego współzakupienia telewizorów. W świetle nowych obserwacji, umacniam się w mniemaniu, iż „Odgłosowa“ propozycja miała ręce i nogi, nie mówiąc już o głowie. Ale zabieram głos nie gwoli przechwałki,

tylko, żeby tamtą propozycję podtrzymać i rozszerzyć. Trzeba pomyśleć nad wprowadzeniem dogodniejszego systemu rat, nad rozprawdaniem telewizorów dla rodzin robotniczych przez związki zawodowe, a nawet nad formą premii w postaci jakiejś sumy na książeczce oszczędnościowej „docelowo“ zamrażanej na telewizor. Mniemam że niejedno da się tu wymyślić.

Dalej. Tyle jest u nas towarzystw i związków. Otóż bardzo by się przydała wśród nich organizacja od upowszechniania telewizji. Zle mówię — przydałaby się. Jest potrzebna i to od zaraz! Bo skoro okazuje się, że po telewizor sięga nie stały odbiorca teatru, muzyki symfonicznej, filmu i nowości wydawniczych, ale widz nowy, nie zamieniający formy odbioru kulturalnego, lecz w ogóle w związku z telewizją dopiero chce tego odbioru wyrażający — to dla państwa o charakterze socjalistycznym i jego polityków od kultury powinien to być sygnał, iż dystrybucji telewizorów nie można traktować na równi z dystrybucją kredensów.

Wykładając kawę na ławę: chodzi o to, żeby dystrybucja telewizorów, których produkcją będziemy po 200 tysięcy rocznie, była formą polityki kulturalnej, stanowiła lansowanie telewizji, a nie normalną sprzedaż mebla ze szklanym łufickiem.

BELFER

Patrzy on na świat z małego miasta Bonn, z Kolonii, którą niekiedy odwiedza, z Berlina zachodniego, gdzie lubi przemawiać. I w Bonn, i w Kolonii, i w Berlinie zachodnim jak złowroga chorobowa wysypka wyskakują swastyki. Kanclerz Adenauer mówi, że jest niewinny. Przyjmuje rabinów, odwiedza obozy koncentracyjne. Kanclerz Adenauer jest rzeczywiście niewinny, ale tylko w tym sensie, że sam nie malował swastyk na kołofiskich murach. Jego minister spraw wewnętrznych, Schroeder, jest też niewinny. On też nie malował, on tylko powiedział niedawno, że „dopóki nie wybito ani jednego szyby, to nie ma się czym przejmować“, bo trzeba wiedzieć, że kiedy pan Schroeder był w SA przed 25 laty, to on wybił szyby. Pan Oberlaender, minister do spraw przesiedleńców w rządzie kanclerza Adenauera, jest też niewinny. On teraz nie maluje swastyk, ale przed 18 laty pan Oberlaender i jego żoldacy urządzili rzeź we Lwowie. Pan Alfred Krupp von Bohlen — to w ogóle chodząca niewinność. Ze w 1946 roku trybunał międzynarodowy skazał go jako zbrodniarza wojennego na karę dożywotniego więzienia, to drobniostka. Można ją zapomnieć. Zwłaszcza teraz, kiedy pan Alfred Krupp von Bohlen potomek dynastii królów armat, zatrudnia w swych fabrykach 140 tysięcy robotników, a jego roczne obroty to okrągły miliard dolarów.

Pan Strauss, minister obrony w rządzie NRF, mówi daś, że „duch Camp Davida to komunistyczny wymysł; zimna wojna trwa i trwać będzie“. On sobie tego życzy. I kanclerz Adenauer też. I panowie Schroeder, Oberlaender, Globke, również sobie tego życzą. Wśród społeczeństwa zachodnich Niemiec można zapewne spotkać wielu takich, którzy by chcieli wrócić do Gdańska, do Szczecina, do Wrocławia, a nawet do Łodzi. Ale chcieliby zapewne wrócić w zmaterializowanej postaci, a nie w postaci zatomizowanych duchów. Tylko zaś w tej postaci mogą wrócić, patrząc na tę możliwość z poziomu potężnych rakiet radzieckich, które wdzierają się w kosmos.

Bardzo żałuję, że nie mogę spojrzeć na Ziemię z Marsa ale mimo to ustąpiłbym swego miejsca w radzieckiej rakiecie kosmicznej, która poleciał w tym kierunku — kanclerzowi Konradowi Adenauerowi. Gdybym mógł o tym decydować, zaprosiłbym kanclerza na taką przejażdżkę. Pozwoliłbym mu nawet zabrać z sobą płaszcz honorowego Krzyżaka.

JACEK LEBEN





# S m a r d z e w "S k i"

rażnie. Potem jest mowa o niebezpieczeństwach trasy oraz o najbardziej skomplikowanych złamaniach kończyn górnych i dolnych, o strzaskanych smrekach, o lawinach wywołanych gwałtownym szusem.

Pociąg staje. Teraz trzeba wysiąść i przypiąć narty. Jest to problem istotny sam w sobie, która bowiem narta jest prawa, a która lewa wie tylko dobry Pan Bóg. Bo sąsiad z lewej nie wie, a ten z prawej bezczelnie czeka aż ty przypniesz.

Potem już bez słowa ciągnie białymi polami i wśród wyszebranych, krzewów rząd przewracających się na prostej drodze entuzjastów narciarstwa. Co chwila powstaje luka w ich szeregach, zaś ten, co padł na posterunku zlorzeczy swym plastikowym deskom, że źle go nosą.

Wreszcie wydostają się nasi bohaterowie na podlódzka Gubałówkę. System oślich łązek wykorzystywany jest tu gorliwie przez nauczycieli i ich młode uczennice. Wprawdzie narciarstwo nie stwarza im tyłu dogodnych okazji co nauka pływania, niemniej z braku odpowiedniej liczby krytych basenów trzeba zadowolić się własnoręcznym ustawianiem zgrabnej nóżki w pozycji „łuk z piłgu”. W tabeli doznań namacalnych narciarstwo stoi jeszcze dalej niż łyżwiarstwo.

Spojrzymy teraz na obywateli najbardziej wykorzystywane stoki. Króluje tu wspinaczka i przerażenie. I tu bowiem jak w życiu krótką chwilę radości trzeba okupić wielkim móżdżem... wspinania się pod górę. Toteż kiedy staniesz już na jej szczycie, długo, długo rozważasz, czy warto puścić się w dół, a potem znów krok po kroku leżąc na szczycie. To jest wspinaczka. A przerażenie? Przerażenie czytasz w oczach tych, co powiedzieli sobie „raz kozie śmierć!” I z duszą na (całym jeszcze!) ramieniu postanowili zjechać.

Z gardła takiego zjazdowca wyrwa się krzyk rozpacz:

— Droga! Droga! — woła on. Ale jęk ten ginie w poświacie wiatru i w śniegowym pyłu, żałośnie wlokąc się z tyłu jak ogon komety. Tedy nasz niesłychany i oczywiście niezauważony w tłoku narciarz sięje na stoku spustoszenie, wyrabując sobie wśród podchodzących pod górę ścieżkę podobną do tej, którą czyni średniej wielkości trąba powietrzna. Narciarz oparty raz na jednej, raz na drugiej nartce



# dzionek



poniesie. O tych typach jednak lepiej i dawniej pisał już Makuszyński w listach z Zakopanego, tam też odsyłamy ciekawych.

O Zakopanem zaś przy końcu korespondencji wspomniamy celowo, bo na początku się rzekło, że Smardzew to małe łódzkie Zakopane z całą jego złożoną problematyką sportowo-towarzystwa.

Droga powrotna ze Smardzewa często pokonywana jest na nartach. Wiedzia ona przez pola i las taglewnicki. Stąd też tak często z tramwaju linii 16 wypadają na przystanek ludzie nieprzytomnie zmęczeni z deskami pod pachą. Drwią z nich łódzcy spacerowicze ci, co to nigdy nie wysłuchali nosa poza mury miasta, kiedy na świecie jest śnieg. Co to nie wiedzą, iż Łódź ma okolice piękne i znakomicie nadające się na tereny narciarskie.

Kto nie wierzy, niech jedzie do Smardzewa.

Ktoś, kto przez rozrządzenie zapomniał nart, jest tu najmiej widziany.

Jak gminna wleść niesie, w podkarpackim Zakopanem dokazywał Witkacy, a w podlódzkim Smardzewie — pewien węglarz. Ścisła mówiąc, był to ponoć król łódzkich posiadaczy składów węgla, dziedzicznie obciążony manią odkrywcy nowych ładów. Być może kilka wieków wcześniej on właśnie odkryłby Amerykę, niestety urodził się po wojnie rosyjsko — japońskiej i odkrył tylko Smardzew.

Cytowana tu legenda opowiada dalej, że węglarz ów nie tylko Smardzew odkrył i zalesił jego gole wzgórza, ale uczynił zeń łódzki plac Pigalle dla bogatych. Nie będziemy ukrywać, że dotarli do nas wieści o „węglarskich prywatkach” kraszonych suto czymś co współcześnie określamy mianem strip-teasu. Imprezy te odbywały się w pięknej willi, smardzewskiej, a kiedy zapadł mrok stanowiły jedyną rozrywkę dla mieszkańców wsi. Ci bowiem włazszy na drzewa otaczające willę patrzyli w jasno oświetlone okna, tak jak my dzisiaj na ekrany telewizorów. Tyle, że tamten program był ciekawszy.

Cóż widzieli? Wiarygodni świadkowie opowiadają, że przyjeżdżające tu piękne, kobiety były tak bogate, iż nie wiedziały, co na siebie włożyć. Trwając w tej rozterce kobiecego ducha przeważnie nic nie wkładały. Zaś panowie? O, ci znów nie wiedzieli co pić. I pili „ciągiem” wszystko. A następnie czym ciskali w pięć odmienną? Pomarańczami ciskali!

Żeby zaś mamy w poszukiwaniu córek i odwrotnie słowem żeby intruz nie trafił do Smardzewa, właściciel tych dóbr miał nawet przekupić PKP i odciąć tylko z rzadka pociąg

zatrzymywały się na tym przystanku. Tak zresztą pozostało do dziś.

Dawne, dobre czasy... A po co dziś jeździmy do Smardzewa?

Latem z paniąką na smardze, czyli rośliny z gromady grzybów (rodzina piestrzeńcowatych), na smardze jadalne zwyczajne i prawdziwe, wyborne (h. deliciosus). Oczywiście, nikt nawet z najbardziej zapalonych zbieraczy nie ma pojęcia, jak wygląda taki smardz, dowiaduje się natomiast wiele o życiu...

Zimą jeździmy do Smardzewa na narty. Okoliczne wzgórza stają się miejscem zbiorowego narciarskiego



szaleństwa dla trzech osób umiających jako tako jeździć na nartach i miejscem gorzkich żalów dla większości ściągniętych tu siłą małżonków, narzeczonych, sympatii, kawalerów i pańien. Smardzew ochrzczone już dawno imieniem łódzkiego Zakopańca i trzeba przyznać robimy wszystko, by skala podobieństw została utrzymana.

W pociągu rozmawia się o nartostradzie z Kasprowego. O tym, że szybkość jazdy sięga tam 80 kilometrów na godzinę. Wiele osób ca takie dictum uśmiecha się kwaśno i raczej niewy-

przemknął, by w dole utknąć głową w śniegowej zaspie, czy też na świerkowym pniu, zaś na zboczu pozostał jeno płacz głuchy i zgrzytanie szczęśliwie ocalałych zębów...

Oto jeden z trzech ludzi umiających jeździć na nartach, taternik i alpinista, znoszony jest już na ramionach przyjaciół z placu boju. W żalobnej ciszy, niejako przy pomocy werbli druhowie serdeczni odwiązują rzemienie jego zjazdówek, wspierają bezpieczne deski o pień drzewa, na sam zaś umieszczony na sankach wędruje do szpitala. Na

smardzewskim stoku przez pięć minut trwa jeszcze nastroj przygnębienia, toczą się rozmowy na temat, że „w końcu wszystkich nas to czeka!” A że wiadomo, iż pesymizm nie lubi alkoholu i czmycha przed nim, gdzie pieprz rośnie, szybko sięga się do buteleczek-piersioweczek. I znów jest wesoło.

Jak po stypie. A śnieg sypie.

Zaś najweselsiej jest wśród tych, co to przypinają narty i cały dzień stoją na nich nie ruszając się ani w lewo, ani w prawo w obawie, że ich to perfidne drzewo gdzie

Tekst i zdjęcia: WIESŁAW MACHEJKO



# Sanocka 24

To osiedle, dawne ZUS-owskie osiedle, od śródmieścia daleko, trzy długie bloki przy Sanockiej 24. W każdej rodzinie dziecko, latem skwer między blokami zmienia się w las, w piaskownicę, w morze burzliwe, w poligon, w tor kolarskich wyścigów — we wszystko, co dzieciakom przeciw nudzie potrzebne.

Ale zimą? Kiedy mróz trzaskający, wietrzyk huczy po dachach, od ulicy do ulicy osiedlem leci... Siedzą dzieci w mieszkaniach, nudzą się, matki zdenerwowane przy domowej robocie po łapach wał, uszy nadrywają. Skaranie!

Jest więc taki wieczór zimowy, tylko przy ogniu śniad, świeższa zza komina słuchać. I wyć, od czasu do czasu.

A tu przychodzi starszy, zmarszczony facet, targa drzemiących za ramię.



— Zamiotłem — powiada — w piecu napaliłem, radio puściłem, adapter, wesolo jest! Chodźcie, już inni czekają...

Jak ze snu wylazisz z ciepłego kąta, idziesz chodniczką zamarzniętą do klatki „C”, kawaleczek, brz, gdyby do miasta jechać, choć na szatański film!

Ale już. W dół schodkami krętlymi, patrzysz, drzwi na prawo zielone, okute blachą rzeźbioną, jakby od kasy jakiej, ZOO kredą pisze. A to dopiero rozrywka! Lecz żeby złudzenie rozwiać, ktoś drżąca kreską dopisał: „klozet”. Żet dzieciaki dodały.

Po tym niczemu dziwić się nie trzeba. Piwnica to jest. Najwyższa piwnica. Owszem, duża, drzwi nowe wstawione, podłoga, piec pękający.

Pod ścianami ławy szerokie, stoly trzy długie, szafy trzy duże, a tu stolicek jakis, a tu biureczko, tu reszki czerwonych dekoracji... No, rzeczywiście ciepło. No, radio gra. To co to — prywatne mieszkanie? Portret na ścianie Małgorzaty Fornalskiej, tu znów Eugenii Cotton, gazetka ściana z okazji wyzwolenia Łodzi, czołg nieporadną ręką pięknie w biel wrysowany.

Ano, ostatecznie, można posiedzieć. Nawet cały wieczór spędzić. Nawet przyjemnie jest... Tylko, co to wszystko znaczy?

2.

Trzy lata temu zebrał się Komitet Blokowy oraz Komitet Domowy, lokatorzy też się zebrałi, i stwierdzili, co następuje:

1) Nie ma miejsca na rozrywki dla dzieci w czasie zimy. Dzieci muszą się z sobą spotykać, w większym gronie, to dodatnio wpływa na rozwój.

2) Lokatorzy chcą się spotykać na pogawędki, nieestetycznie, kawiarne daleko, nie każdy chce lub nawet może do kawiarni iść...

3) Nie ma w pobliżu wypożyczalni książek, a przydałyby się bardzo.

4) Nawet zebrania Komitetów: Blokowego i Domowego nie mają się gdzie odbywać, raz tu, raz tam...

5) Wniosek ostateczny: co robić? Świetlicę lokatorską.

W tej klatce „C”, na dole, była obszerna rupieciarnia. Rupiecie wyrzucono, położono podłogę, wstawiono drzwi. Materiał na to i robociznę dała Dzielnicowa Rada Narodowa. Malarz — jeden z lokatorów, za darmo „społecznie” wymalował ściany. Zostało tylko ściągnąć meble.

Tym zajęła się przewodnicząca Kobietu Domowego, pani Mieczysława. Szafy zwieszono z fabryki przy placu Zwycięstwa, stoly z Administracji Domów Mieszkalnych.

Składek, kwesty wśród lokatorów nie było. Do szaf wpakowano książki, około tysiąca tomów. Na ścianie powieszono rozkład zajęć w świetlicy, tak to wygląda:

1. Zabawy i gry siedzące i ruchowe (oczywiście dla dzieci)
2. Czytanie książek.
3. Pogawędki, deklamacje, śpiew.
4. Zajęcia artystyczno-techniczne.
5. Inscenizacje.

No i zaczęło się. Ludzie przychodzą, nieraz siedemdziesiąt osób jest, niestety, więcej się nie zmieści. Do świetlicy, którą lokatorzy nazywają „kacik”, przychodzi często pracownicy Dzielnicowej Rady Narodowej, wygłaszają prelekcje, odczytują.

Odbyły się tu nawet wybory do Rad Narodowych, stąd pod ścianą ślady uroczystych dekoracji.

Niech nikt nie myśli, że od razu znalazło się tysiąc książek, radio, adapter, projektor filmowy do wyświetlania bajek dla dzieci, że to wszystko przyszło równie łatwo mieszkańcom ulicy Sanockiej, jak łatwo się o tym czyta. Do dzisiejszego stanu świetlicy trzeba było trzech lat bezinteresownych, społecznych wysiłków, zrozumienia przez lokatorów celu, dla którego wszystko się robi.

Bo niby kto kazał dozorca, panu Michałowi Jakubowskiemu stawiać za darmo piec, kto każe mu teraz codziennie zamiatać, myć podłogę i palić w piecu doglądać porządku wśród dzieciarni, biegać z kluczem — zamykać, odmykać, pilnować? Nikt mu nie każe, bo to wykracza poza ramy jego obowiązków. Ale pan Jakubowski robi to wszystko, ponieważ widzi niezaprzeczalne korzyści tych wysiłków.

— Ludzie chcą żyć wesoło — powiada — potaćczyć, zabawić się.

W swoim gronie, wśród znajomych weselej. Albo kobiety mają coś do roboty w domu, to dzieciaki tu wysyłają bez zmartwienia. Wszystkim się świetlica bardzo podoba.

Albo pani Mieczysława, energiczna niewiasta, która była wodzem akcji, i potrafiła „zorganizować” węgiel i wszystkie niezbędne sprzęty... Przecież nikt jej za to nie płaci.

To jest właśnie praca społeczna, a więc praca dla wspólnego dobra.

3.

Akcja mieszkańców bloku przy ul. Sanockiej 24 stała się powodem zaprojektowa-



## wieków dziejów Łodzi

W przeddzień rocznicy wyzwolenia naszego miasta spod hitlerowskiej okupacji, w salach Starego Ratusza otwarta została wystawa pod nazwą „VII wieków dziejów Łodzi”.

Nie wszyscy — nawet spośród rodowitych łodzian — wiedzą, że dzieje ich miasta sięgają bez mała siedmiuset lat. Na przestrzeni tych wieków Łódź przeszła niezwykle ciekawą drogę: od małej niepozornej wioski, aż do wielkoprzemysłowego ośrodka, nie bez powodu zwanego „polskim Manchesterem”.

W historii miasta wyróżnić można 6 zasadniczych, wyraźnie zarysowanych etapów. Pierwszy z nich — obejmuje lata od 1332 roku (tzn. od pierwszej wzmianki o Łodzi — wiosce biskupa wrocławskiego) — do XVIII wieku.

W 1423 r. król Władysław Jagiełło nadał Łodzi prawa miejskie. Od tej pory mniej więcej, wiadomości o Łodzi stają się bardziej dokładne, bardziej udokumentowane. Są prowadzone księgi miejskie.

Niezwykle ciekawie przedstawiają się właśnie losy owych ksiąg miejskich, spisanych w latach 1477—1790. W 1939 roku Niemcy księgi „swojego Litzmanstadtu” wywieźli do Berlina. Stamtąd po klęsce Hitlera powędrowały do ZSRR, po to by w 1958 r. znów znaleźć się w kraju.

Obok tych dokumentów w gablotach ekspozycji znalazły się również i inne — nie mniej cenne. „Księga metrykalna, kościoła staromiejskiego z XVII wieku”,

ciekawy akt z roku 1577 traktujący o sporze miasta z sąsiadującą wsią szlachecka — Bałutami. Do aktu dołączony jest plan granic miasta otoczony niewielkimi wioskami (Widzew, Zarzew, Bałuty) i... puszcza!

Ten okres Łodzi zamyka wiek XVIII — wiek upadku miasta. Dopiero lata następane (1820—1864) — początek osadnictwa przemysłowego — zadecydowały o późniejszym jego charakterze.

Na wystawie znajduje się wiele dokumentów z tamtych czasów: opisy Łodzi z roku 1820 i 1860, historia osadnictwa, zakładania i rozwoju przedsiębiorstw, wreszcie ich pierwszy wykaz z 1868 roku.

Trzeba wziąć pod uwagę, że nie bez wpływu na dzieje miasta pozostały dwa powstania narodowe: listopadowe i styczniowe. Łodzianie brali w nich czynny udział. Wystarczy obejrzeć wykazy datków na rzecz powstań, czy listy walczących z 1863 roku.

Okres od rozbiorów do końca pierwszej wojny światowej jest okresem wielkiej koniunktury przemysłowej Łodzi. Koniunktury rzecz jasna, kapitalistów, dla których miasto staje się drugą „ziemią obiecaną”. Jest to jednocześnie czas nieustannie pogłębiającej się nędzy klasy robotniczej — czas walki z fabrykantami. Historia tej walki jest niejako osobnym rozdziałem tamtych lat: ruch Luddystów niszczyli maszyn, które w owym czasie uważano za główne źródło ubożenia klasy robotniczej, 6-dniowy

strajk powszechny z maja 1892 roku, zwany „Buntem łódzkim”, rewolucja lat 1905—1907 aż do powstania załazków władzy proletariackiej w postaci Rad Delegatów Robotniczych. Tyle w telegraficznym skrócie można o tamtym okresie napisać.

„Wiek XIX był wiekiem gwałtownego rozwoju techniki, wzrostu przemysłu, nieustannego dopływu ludności. W konsekwencji więc stale postępował napręd rozwój Łodzi jako miasta.

Rzeczazoo w nim usługi komunikacyjne, wprowadzając komunikację miejską i podmiejską, rozwinęto budownictwo mieszkaniowe, oświatę.

Na wystawie znajdują się akta tajnych szkół łódzkich z XIX wieku, dokumenty dotyczące prób stworzenia w latach 1864—1867 Instytutu Politechnicznego. Instytutu, którego nawet nie udało się otworzyć w okresie XX-lecia międzywojennego.

Okres ten nie zaznaczył się zresztą niczym szczególnym w dziejach miasta, mimo rozwijającego się budownictwa i szczytnych zamierzeń ówczesnego prezydenta Łodzi — Godlewskiego.

Stale pogłębiająca się nędza robotnicza, nieopisany wysiłek, strajki — jest głównie udziałem tych lat.

Wystawa „VII wieków dziejów Łodzi” poświęca stosunkowo niewiele miejsca okresowi okupacji. Ta lakoniczność jednak wyszła na korzyść ekspozycji. Jakże mocno przemawia dziś niczym nie skomentowany fotos rozwalonego pomnika Tadeusza Kościuszki z butnie postawioną stopą niemieckiego żołdaka na portraskanej głowie postumentu, jakże silne wrażenie wywiera szereg dokumentów i aktów represji niemieckich wobec polskiej ludności, któremu przeciwstawiono tylko krótką, nieomal schematyczną kronikę jakże bogatego w czynnach ruchu oporu. Ta część wystawy wywiera chyba najsilniejszy wpływ na zwiedzających — szczególnie na tych najmłodszych, którzy o latach hitleryzmu wiedzą niewiele.

Najważniejszą częścią wystawy jest okres XV-lecia Polski Ludowej. Potraktowany chronologicznie od momentu wyzwolenia Łodzi, poprzez organizację władz miejskich późniejszych uczelni, rozwój szkolnictwa średniego i wreszcie stale ożywiający się ruch kulturalny.

Znalazły tu swoje miejsce i łódzkie teatry... Organizatorzy wystawy nie zapomnieli również o szeregu ważnych zmian

natury ekonomicznej i gospodarczej, które stanowią chlubę Łodzi.

Całą wystawę kończy plan perspektywiczny miasta do roku 1975 i plan kierunkowy do 1980 roku.

Wydaje się, że przy całym ogromie pracy, jaką twórcy wystawy (Referat Historii Partii Komitetu Łódzkiego PZPR, Archiwum Państwowe w Łodzi) w nią włożyli, zapomniano o kilku ważnych rzeczach. M.in. o tym, że Łódź jest miastem wybitnie przemysłowym. Ba! Siedziabą władz naczelnych niemal wszystkich gałęzi przemysłu lekkiego, a zaledwie tylko dwie gabloty są poświęcone sercu miasta — fabrykom.

Wydaje mi się jednak, iż to co nazwał „brakami”, wystawy było celowym zamierzeniem jej wykonawców (Roman Kaczmarek, Izidor Hałas, Mieczysław Kołodziejczak i Mieczysław Bandurka). Mogli bowiem w nieskończoność ekspozować dokumenty i fotos łódzkich fabryk, w nieskończoność mówić o Łodzi — mieście kultury. Uczyniliby to jednak z ekspozycji kilkuset metrową przestrzeń z nagromadzoną bez smaku i wycucia psychologii zwiedzających ekspozycjami.

Bardzo dobrze też zorganizatorzy wystawy nie poszli na łatwiznę pisemnego komentowania ekspozycji. Pozostawili szereg faktów ich własnej wymowie, a resztę... inteligencji widza.

Jest charakterystyczne, że w okresie pierwszego tygodnia w normalny dzień roboczy cyfra zwiedzających dochodziła do 300 osób, a w niedzielę znacznie przekraczała liczbę 600.

Podkreślić należy również, że jest to jedna z pierwszych tego typu wystaw w Polsce i warto byłoby uczynić wszystko, by zobaczyli ją nie tylko mieszkańcy Łodzi ale i województwa.

H. H.



JANUSZ WEYCHERT

# „Śmierć komiwojażera” w Teatrze Nowym

Umiera komiwojażer — szary, przeciętny agent handlowy, przemierzający nieustannie ogromne polacie współczesnej Ameryki w pogoni za groszowym zarobkiem. Niczego w życiu nie dokonał, nawet własnym synom zadał klęskę. Umiera świat jego złudzeń, sztucznych euforii, taniego optymizmu.

Nie ulega wątpliwości, że „Śmierć komiwojażera” pozostanie utworem otwartym dla przeróżnych interpretacji. Gdyby świetny dramat Millera wystawić na polskiej scenie lat temu — powiedziemy — osiem, otrzymalibyśmy zapewne demaskatorski wykład o wilczych prawach

kapitalizmu. Otrzymałobyśmy ostrą polemikę z mitantem typu dominikowskiego „z gazeciarza milionerem”. Bo przecież temat „Śmierci komiwojażera” wyrasta z uporczywego nawyku myślowego amerykańskiej społeczności — z dążenia do nieustannego przekraczania standardu życiowego, z tej powszechnej obsesji wszystkich klas — „jak się wybić?” Ten pęd do kariery za wszelką cenę, dążenie przerażające, gdy się staje celem samym w sobie — już od dawna miało odbicie w piśmiennictwie amerykańskim. W jednym przypadku zajęli się tym ludzie, którzy pod-

sycali wiarę w mity o dostę-

pnosci awansu — autorzy milionerskich życiorysów lub praktycznych wskazówek w typie „dziełek” Dallye Carnegie. Z drugiej strony ów temat stał się obsesją całego rozdziału wielkiej literatury, od „Tragedii amerykańskiej” Dreisera po „Śmierć komiwojażera”.

Oczywiście — można za-



MAREK WAWRZKIEWICZ



## Granice

Ty jesteś odtąd To się zaczyna  
Innym zmruczeniem oczu w uśmiechu  
Innym ciepłem ust Od tej granicy  
Wiatr inaczej niesie śnieg w tajemniczą ciemność  
Między światłami mdle Ona jest  
Między światłami mdlymi i tam się nie kończy  
Gdzie zaczyna się głębia

Ty jesteś odtąd Czy muszę opuścić świat  
Bo nie widzę świata bo kocham świat który istnieje  
Bo wierzę w niemożliwość nie to niemożliwe  
Bez zderzenia gładkiej skóry która jest jak lód  
Czy mogę zajrzeć do środka

Ty jesteś odtąd To znaczy że inaczej  
Inaczej jest czas przestrzeń materia i technienie  
Nie pytając o prawo jesteś Wysyłasz palce oczu  
W świat w cztery strony świata  
W pory roku wiosnę lato jesień zimę  
Zmysły to są szpiedzy twojego istnienia  
Chcesz jeszcze kartę odwrócić Karta  
Nazywa się życie i leży na parzystej stronie

II

A wokoło Europa Pałę stos olbrzymi  
Jest groźny trzask ognia szum ogromny  
I efekt nie mów że nikły efekt oto  
Słup ogrzanego powietrza unosi się w niebo  
Czy niebo jest czy tylko chmura  
Chmura chmura bez dna do końca chmura

Po drodze odłączy się dym kawalki popiołu  
Upadną na ziemię która biała lub zielona  
Przyjmuje zawsze pokornie i cicho  
A potem jest czekanie na umarcie ognia  
Wszyscy odchodzą pośpiesznie i ze wstydem albowiem

Zakończyło się misterium jawności które było [powszechne]

I wtedy  
Samotność ludzką wydobywa się  
Owoc dziwny pachnący o barwie pomarańczy



Płyną zielone gwiazdy po niebieskich szynach,  
Na niebie wiatr jest rozlany w brzegach horyzontu,  
Zielone drzewa grają czarną pantomimę  
I wieczór jest bez końca i brak mu początku.

Ekran trwania jest czarny. Białe, żywe plamy  
To jest zmienność beztroska i odwiecznie młoda.  
Światło bycia jest w mózgu. Skamieniała pamięć  
Wybucha gejerami płomieni i wody.

Ucichają promienie i sen mnie nachodzi...  
Cisza linią falistą znaczy kręte wzory...  
Tak samo pięką oczy piaskiem nocnych godzin  
Jak startym na proch korzeniem drzewa mandragory.

LESZEK WITCZAK

## Młodość

Było już dziesięć minut po fiolecie twojej sukni.  
Właśnie ksiądz w obu rękach podniósł lunę nad miastem  
i stary dzwonnik z wszystkich sił szarpnął za serca  
kłęzących ludzi, gdy wybiegłem z kościoła, w którym  
nie miałem już do kogo się modlić...

Biednej, o zamurowanych oczach i ustach, żebrzącej  
u drzwi, darowałem resztę moich szesnastu lat, a jednak  
nie byłem szczęśliwy.

Wtedy niespodziewany wiatr z kocich łbów zerwał  
lśniące samochody...

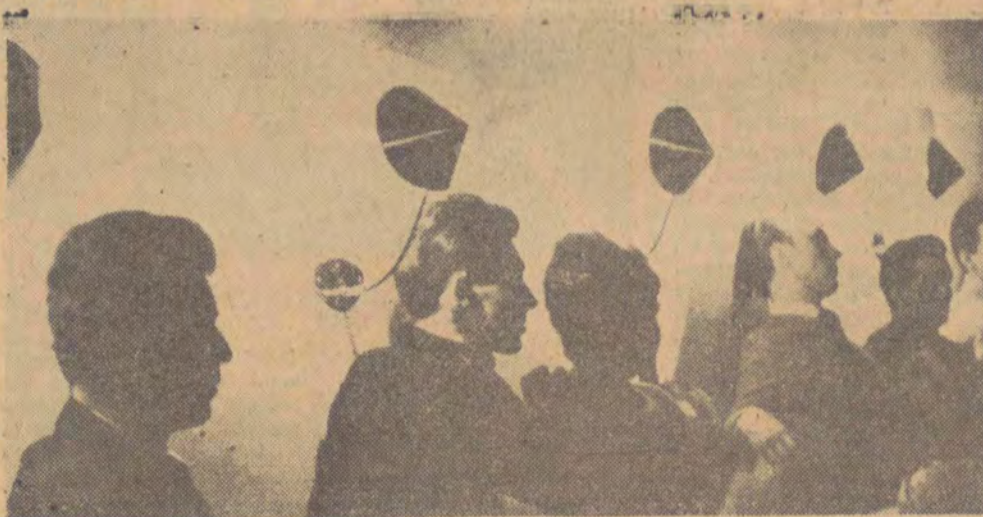
I fiolet twojej sukni ściemniał w burzę romantyczną,  
wtedy też, pierwszy raz, w którym to ogrodzie ujrzałem  
oślepiające, śnieżne szczyty twoich piersi —  
moje śniegi Kilimandżaro.



Dwie dziurki w nosie

Zdjęcia: Z. Walter  
Tekst: K. B.

## KLUB STUDENCKI



Ściana cieni



Sympatyczni. Prawda?



Mowa!

— Czyżby „Odgłosy” rządzą konkurs: „Piękne dziewczęta na ekrany”? Skądże. To tylko plon naszego fotoreportera, który odwiedził Klub Studentów. Gdzie? Jasne, że nie w Paryżu czy jakimś innym mało atrakcyjnym mieście, lecz, oczywiście, w Łodzi, Piotrkowska 77, parter, pierwsze wejście na lewo, szatnia obowiązkowa, płatna 1 zł od osoby, wstęp za okazaniem kart, strój dowolny od smokingu po fajgowe portcietta.

Ten nader cenny i nowoczesny upominek (to jest Klub) przekazany został naszym akademusom w dniu 15 rocznicy wyzwolenia Łodzi. Wydarzenie to (tak, tak) z prawdziwą satysfakcją odnotowujemy i jednocześnie mamy nadzieję, że nowy „KS” stanie się nie tylko miejscem intensywnej konsumpcji win i nową formą drenażu studenckich kieszeni, ale będzie również ośrodkiem twórczej wymiany myśli, punktem styczonym teorii z praktyką, czyli miejscem spotkań aktualnych studentów z absolwentami, jednym słowem będzie to ośrodek nauki, wypoczynku i jeszcze wielu innych wzrastających a pozytywnych rzeczy.

Według zapewnień kierownictwa ZSP przez najbliższych kilkanaście tygodni w każdą sobotę będziemy mogli oglądać w nowo otwartym klubie występy radiowego kabaretu „Poddasze”. Jednocześnie sekcja jazzowa zamierza dwa razy na miesiąc organizować nocne „Jam Session”. Inauguracyjna „Jam Session” z udziałem zespołu warszawskich „Hybryd” już się odbyła i jedynie entuzjastyczny jazz (a takich w naszym mieście nie brak) narzekając, że impreza zbyt krótko trwała.

Poza tym w hipernowoczesnej kawiarni klubu (zaśługa młodego architekta Kurmanowicza) przewiduje się organizowanie wieczorów autorskich, spotkań i dyskusji oraz urządzanie wystaw najzdolniejszym studentom PWSSP. Na pierwszy ogień poszły plótka Alka Halata — studenta V roku z pracowni rektora Modzelewskiego. Ta ekspozycja budzi duże zainteresowanie i wywołuje pochlebne opinie wśród bywalców klubu. A o tym kto „bywa”, i przebywa w klubie mówią zdjęcia.



## Monstrualna legenda „starych dzieci“

...Odmówił. Wtedy kazali mu stanąć w kącie, twarzą do ściany, i kiwać się w przód i w tył bez przerwy, tak by za każdym razem dotykał czołem ściany. Trwało to godzinę, dwie — kiedy nieruchomiejąc, kopnięciem wprawiali go znów w wahadłowy ruch. Podczas, gdy jego czoło uderzało o ścianę, zdążyli zjeść kolację, rozegrać partię domina, przejrzeć jakiegoś stare gazety. Wreszcie osunął się na deski, nieprzytomny, z nosa ciekła mu krew. Podbiegli do niego, ale rozległ się dźwięk z wartowni i krzyk w betonowym korytarzu. Apel. Podtrzymywali go, by nie upadł. A kiedy apel odwołano, pozwolili się wciągnąć na korytarz, na najwyższą z trzech ustawionych na sobie przycz, i tam pod sufitem, w powietrzu gorącym i smrodliwym zrobił to, czego chcieli.

On miał siedemnaście lat, oni wszyscy mieli po siedemnaście, po dwadzieścia lat. To nie on donosił, bo wiedział, że gdyby to zrobił — koniec. Kapuś nie ma prawa upominać się o swoją własność, o swój spokój, o swoje zdrowie. Nie ma żadnego prawa do poczucia krzywdy, które nie raz bywa krzepiące. Przesyłany z więzienia do więzienia spotyka się zawsze z takim samym przyjęciem. Zawsze wcześniej wiedzą o nim to, za co według klasycznych praw dinojczy płaci się życiem.

Biedne, stare dzieci pilnie przestrzegają „starych złodziejsko-bandyckich zasad życia w więzieniu. Przyjmują tradycję w jej formach najostrożniejszych, wyciągając z każdego odstępstwa najdalej posunięte konsekwencje. Przyjmują tradycję — nie żyją, choć trwała w sposobach wywierania sankcji — lecz legendę o tradycji, preparowaną dowolnie w monstrualny kształt. W „dorosłym“ przestępczym świecie istnieje dziś zasadniczo jedna, nieco abstrakcyjnie pojęta zasada współżycia: trzeba być „charakternym“. Dorosli przestępcy używają słów: litość, żal, tęsknota, miłość — cokolwiek by one w ich interpretacji znaczyły. Biedne, stare dzieci wstydzą się samego brzmienia tych słów. Używają określeń wciąż jednakowych, „powszechnie uznanych za obraźliwe“, do wyrażania różnych stanów uczuciowych, do wyrażania swego stosunku do rozmaitych spraw. Są okrutni, bezlitośni jak dzieci, ale to okrucieństwo, wspomaganie starożytną przebiegłością przynosi skutki tragiczne.

W więzieniu najlepiej mają silni. Prawo pięści chce tu być jedynym obowiązującym prawem. Najsilniejszym stabi myją nogi. Sprzątają za nich. Oddają swoje paczki, nie otrzymując ani kęską. Ci silni są karani za stosowanie przemocy wobec słabszych, zamykani w karcenach i izolatkach. Ale zostają w celach ich silni koledy, z tej samej grupy, kilki, mafii. Nie pomagają „przerzutki“ do innych cel, transporty do innych więzień. To są przecież przestępcy. Oddział liczy ich ponad trzytysiąc. A oddziałowy jest tylko jeden na zmianę. Wprawdzie biją się może nie rzadziej, ale na pewno słabiej, bez łapania kości, bo za to grozi nowy wyrok... ale spokój byłby dopiero wtedy, gdyby na każdego więźnia przypadał jeden strażnik, i osobna ce-

la. Choćby kto wie, z nudów też można wszystko zrobić.

To pokolenie przestępców stworzyło model „urkesa“ który formuje profil grupy tak, jak model Bardot formuje fizycznie i psychicznie hordy dojrzewających dziewczyn. Sam model może jest pociągający, może miałby prawo bytu jako unikat. Powielany mnóstwo razy, tworzący popularny typ przestępcy — zginie, bo zginie jego naśladowcy. Mieszaniina brutalności, tępoty, cwaniackiego sprytu i kompletnego nieuctwa — te cechy dominują dzisiaj w charakterze młodocianego przestępcy. To biedne, stare dziecko oddziałujące karę za pierwsze czy drugie przestępstwo, to dziecko obmyślające usilnie sposoby ponownego wykiwania świata, nie ma absolutnie szans do walki z nim. Straci życie, bo w tym układzie sił można tylko umrzeć. Chyba... chyba że przyjmie racje społeczeństwa te wielkie racje małych ludzi, którzy za murami więzienia mają wciąż cenne prawo wyboru.

## Dni i noce „słabych i silnych“

Ci ludzie chcą, żeby ich racje przyjęły biedne, stare dzieci. Nie zostawiają ich samych. Stwarzają im warunki, najmożliwsze, jakie są do stworzenia w więzieniu. Zobaczymy, jak się ich uczy podstawowych zasad życia społecznego, jak się próbuje dotrzeć do ich człowieczeństwa, zainteresować czymś, co się na pewno lepiej oplaci od przestępstwa.

Już o siódmej wieczorem mogą kłaść się spać. Od dziesiątej obowiązują cisza nocna. Pobudka o szóstej. Mycie, kiblowanie, apel. Seleda łóżka w „kant“, w idealnie równe pudełko. Nasłuchują przy drzwiach: „oho, Batory jedzie“. Ni by, że kocior kawy, ciągnięty po betonie korytarza z ogłuszającym dudnieniem, to taki więzienny transatlantyk. Kawa słodka: łyżka stolowa cukru na kubek. Pół bochenka chleba. Kto ma kłopoty z żołądkiem, otrzymuje chleb biały, pięć deko masła. Po śniadaniu — co drugi dzień szorowanie ław, stolów, podłóg. Potem szkoła. W więzieniu Warszawa-Stużewice małe dzieci przebywają w osobnym bloku. Mają tam swoją świetlicę, stół ping-pongowy, głośnik. Tutaj nauczycielem jest starszy więzień o stosunkowo wysokim wykształceniu, gdzie indziej są zawodowi wychowawcy. Nie wszędzie wygląda obraz tak samo, są szkoły lepsze, nawet bardzo dobre, ale tutaj jest jak jest! Program nauczania opracowany w zakresie szkoły podstawowej, ale bez podziału na klasy. Po prostu ci, co mają trzy, i ci co mają sześć klas, starają się rozwiązywać te same zadania matematyczne ulamki, procenty itp. Nie bardzo to wychodzi, bo okazuje się w końcu, że większość uczniów to wtórni analfabeci. Przy nauczaniu polskiego nauczyciel ogranicza się tylko do wbijania w głowy podstawowych zasad gramatyki, do dyktowania dobranych książek i poprawiania błędów. Ale tu naprawdę nie można nic poradzić. Bo nauczanie w więzieniu nie jest przymusowe. Jest jednym z przywilejów więźnia młodocianego, a ten może z przywileju nie skorzystać. Poczatkowo na lekcie nieznacznie dwudziestą sześciu młodzieńców. Marnie szła nauka, ale przychodzili pilnie. Po paru tygodniach usunęto ze świetlicy stół ping-pongowy i frek-

wencja zaczęła spadać. Kiedy już było jasno, że stół nie wróci na swoje miejsce, wszyscy, poza piecioma, zrezygnowali ze szkoły. Bo przecież przychodzili po to, żeby w przerwach pograć sobie w „pingla“!

Tych pięciu jednak uczęszczało dalej. Aż nauczyciel zwraca się z prośbą do władz o przeniesienie go do innej pracy. Za wiele miał nieprzyjemności od uczniów.

W porze południowej obiady. Małe dzieci otrzymują pożywienie inne niż dorośli. Codziennie dwa dania, codziennie mięso. Po obiedzie mycie misek, zamiatanie. Spacer. W zimie pół godziny, w lecie niekiedy dwie. O piątej po południu kolacja. Zupa: buraczana, kapuśniak, kasha. Niekiedy makaron. Kawa słodzona. Znowu mycie misek, zamiatanie

tyczne demonstracje samobójcze są na porządku dziennym.

## Zamknięte granice „małego światka“

„Wlano mu za mało zupy. Rzucił miską w głowę kalifaktora. Zabierają go do karcza. „Nie będę siedział w karczu“ powiada. „Będziesz“. Krzyczy: „porżnę się!“ Rewidują go, rozbierają do naga, szukają żyłki. Nie znaleźli. Zamykają w karczu. Za chwilę wali w drzwi. Otwierają — leży w kałuży

zupy, lecząc przyniesione z wolności choroby, takie, co je od lat nosili. Tylko nikt i nie nie wyleczy im tego, czego sprawne funkcjonowanie jest warunkiem istnienia na ziemi.

## Godzina „szczęścia“ i paragraf

Biedne, stare dzieci wychodzą na wolność. Akcja wychowawcza, stosowana w więzieniu nie zdaje przeważnie egzaminu. Duży procent karanych wraca do więzienia po raz drugi. Nie pomaga segregacja, oddzielanie recydywistów dwukrotnych od wielokrotnych, a tych znów od karanych po raz pierwszy. Segregacja ta nie jest zresztą ściśle przestrzegana. Tworzą się nowe grupy przestępcze, kontaktujące z sobą na wolności.

Nie wiem, czy słuszny jest praktykowany dotychczas podział na więźniów „małoletnich“ i „dorosłych“ przez zamykanie ich w osobnych celach, na osobnych oddziałach. Wydaje mi się, że szkodliwy wpływ więźniów „dorosłych“ na małoletnich jest mocno przesadzonym mitem z przedwojennych piosenek: „od starego Urke uczyłem się fa-chu“...

Starzy, fachowi przestępcy dawno już pozamykali swoje szkoły, i albo zgłnili w łóżkach, jak żalosi urzędnicy. W więzieniu dziś nikt nikogo nie uczy kraść, włamywać się, kunsztownie rozbijać kasy, przemysłnie oszukiwać, wyłudzać pieniądze. W więzieniu można się nauczyć tylko chamstwa, brutalności, bezwzględnej obojętności na cudzą krzywdę. I to właśnie „małoletki“, przebywając sami z sobą podniecają się prymitywnymi opowieściami o nieprawdopodobnych „robotach“ wyciskają na swoich duszках czy mózgach (jak kto woli) piętno, świadczące o przynależności nieodwracalnej już, do wielkiej rodziny przestępczego podziemia. A to wcale nieprawda, bo taka rodzina, takie podziemie jako twór zorganizowany, rządzący się w każdej sytuacji określonymi prawami — nie istnieje. Najczęstszymi przestępstwami są drobne, dokonywane w pojedynkę kradzieże, pobicia, najwne kradzieże z szansą ucieczki na tysiąc, wykrywane tuż po dokonaniu, a spowodowane tylko absolutnym brakiem doświadczenia przestępczego (nawet u recydywy!) i namietną chęcią posiadania choćby przez godzinę tego nikłego bogactwa, które się ukradło.

Grupy przestępcze istnieją na zasadzie grup towarzyskich, są szkodliwe ze względów obyczajowych, i jako, jak się to mówi: „wylegarnia zła“. Takie grupy formują się wśród byłych kumpi więziennych.

Należałoby więc w więzieniu przeskądzać nawiązywaniu kontaktów towarzyskich między więźniami. Właśnie małoletni, przeżywający karę jako chrześc bojęwy, traktują nawiązanie do cel znajomości bardzo poważnie, bez cienia krytycyzmu. — cechy tak charakterystycznej dla więźniów dorosłych. Wydaje mi się, że słuszne byłoby przydzielenie po kilku małoletków do cel starszych, o dobrych opiniach, cel w których większość więźniów to ludzie skądinąd przestępcy gospodarze starający się okazać nieraz bardziej kulturalnymi, niż są w istocie. To taki snobizm „wyższej sfery“ więziennego, ale snobizm życzliwy, który może i powinien pomóc w wychowaniu młodych, bez przerwy znów snobujących się na zwierzęta.

Stary przedwojenny zło-

dział śmiało może powiedzieć: kradłem, żeby żyć. Dzisiejszy smarkacz przekręca te gorzka, trochę przerażająca formułkę w wielką ideę upośledzonego umysłu: żyję, żeby kraść. Żeby być przestępcą. Czuje — niesłusznie przecież — nieodwracalność swojego losu, kiedy chłodno mówi do arestujących go milicjantów: „Wy jesteście od tego, żeby mnie łapać, ja od tego, żeby wam uciekać. Tym razem wam się udało“. Traktuje to blache gierki złodziejskie, zacierające mu życie, jak właściwą treść i właściwy sens tego życia, a samo życie traktuje tak, jakby miało ono trwać przynajmniej pięćset lat.

## Kto ma się nimi zająć?

Stare, biedne dzieci, pobawione poczucia czasu, poczucia rzeczywistości, poczucia własnego, przemijającego bezpowrotnie „ja“ — wychodzą na wolność. Ten świat niezbyt przychylnie przyjmuje tych, których przedtem odrzucił, którzy go chcieli oszukać. Młody starzec ma ze zrozumiałych przyczyn trudności ze znalezieniem pracy. Oczywiście, że ten świat wolny, do którego przychodził były więzień musi niezwykle takłownie rozstrzygać wszystkie sprawy związane z przyjęciem nowego członka społeczeństwa. Trzeba pamiętać, że „homo novus“, tak brutalny po tamtej stronie teraz jest wyculony jak membrana na wszelkie objawy pogardy, niechęci czy lekceważenia. Jedną nieopatrzne słowo, jeden nieprzemysłny gest i młody męczennik ma pretekst do ponownego zerwania ze społeczeństwem.

Kto ma się zająć młodymi ludźmi w okresie powięziennego rekonwalescencji? Ci, co są przeświadczeni o pozytywnych wszelkich akcjach instytucjonalnych, postulują utworzenie przy miejskich,

powiatowych, a nawet dzielnicowych radach narodowych komisji opieki, czy czegoś o podobnym brzmieniu a czego działania nikt jeszcze dokładnie nie sprezykował. Bo na czymże w końcu miałyby polegać działania takich komisji? Jeśli na szybkim wynajdywaniu pracy dla zwolnionych, to dobrze. Ale trzeba pamiętać, że wnikanie w warunki bytowe, co na pewno zaplanowano, skończy się nieraz może na powierzchniwnym wnikaniu i co gorzej na pustym moralizatorstwie. To jest problem, na którym mądrzy ludzie od lat zjadają zęby. Wydaje mi się jednak, że współczesne warunki polityczne, społeczne, gospodarcze stwarzają poważne przesłanki aby ten trudny problem mógł być należycie rozwiązany. Wszelkie moralizatorstwo nie może się skończyć na słowie. Człowiek, który odcierpiał karę, musi znaleźć taki klimat, który zmusi go do odrzucenia maski cynizmu, rodzącej się najeższości z nieufności lub rozczarowania. Czy to ma być tak, jak w Związku Radzieckim, gdzie niektóre zakłady przyjmują więźniów pod swoją opiekę i przez odpowiednie traktowanie pomagają im odzyskać godność człowieka? Może tak, może jeszcze inaczej, ja w każdym razie uderzam w dzwon alarmu z wartowni więziennych.



sali. Jak mówią: „apel, ki-ma i dnia nima“.

Co tydzień, w niedzielę, w głównej świetlicy, na której przeznaczono osobny barak, wyświetla się filmy. Różne: „Czarownice z Salem“, „Dziadek Hassan“. Biedne stare dzieci z jednakowym napięciem obserwują losy bohaterów żmizmy, i losy bohaterów dużego dzieła. Kiedy po śmierci Johna Proctora ktoś wali w twarz oszalała Abigail, widownia krzyczy: „dobrze ci, ty...“ Po „Dziadku Hassanie“, długo w noc „nawijali“, co było jakby się miało taką moc, i dywan latający...

Książek nie czytają. Prawie nie czytają — poza przygodami Arsena Lupina, bo i takich dzieł kilkanaście egzemplarzy jest w bibliotece, leżących siedem tysięcy tomów. Co dwa tygodnie zmienia się książki w celach, i to dobrze, bo nie miałby gdzie zapisywać liczb „tysiąca“, nie miałby z czego robić wkładki do butów. Na półkach bibliotecnych leżą strzępy książek. Bez przerwy wycofuje się niezdatne do użytku, bez przerwy uzupełnia stan, bez przerwy tłumaczy wandalom, grozi — nic nie pomaga.

Biedne, stare dzieci cierpią na niedorozwój umysłowy. Imponują sobie nawzajem najbardziej idiotycznymi wybrzykami. Psychopa-

krwi, bo porzucił sobie pierś, ramiona... Biorą go na szpitalkę. Jak zaleczą, znów pójdzie do karcza, znów się porżnie. „Nie zależy mi na życiu“ powiada.

To jest protest. Przeciw komu, przeciw czemu? Oni na pewno tego nie wiedzą. Wystarczy drobniak: klótnia z oddziałowym, niespełnienie przez władze jakichś absurdalnych żądań. Wtedy cała energia, cały spryt, cała treść starego dziecka, skupia się na jednym celu: zdobyć kłopotliwy ołówek. A kiedy jest, grafit gniecie się na proszek i ten proszek wlewa się w oczy. To się nazywa „walka“. „Zawalczył“ powiada inni. „Nie zależy mu“ — i słychać podziw w ich głosie.

Służba więzienna robi, co może. „Ludzie, zrozumcie, przecież to wy jesteście przestępcami!“ — woła wychowawca oddziału.

Biedne, stare dzieci, dla których świat jest prosty. Przeróżnie prosty. Kilka podstawowych pożądan, kilka prymitywnych chęci, których dotychczasowe sytuacje nie potrafiły rozbudować w skomplikowaną konstrukcję psychiczną. Sieć unerwień, przez którą przelatują bez śladu wszystkie bodźce o znaczeniu intelektualnym, wszystkie bodźce, które nie są bodźcami fizycznymi. I mogą biedne, stare dzieci za darmo plombować sobie



MIECZYSLAW  
VOIT

# LONDYN BEZ FORSY

No, nie zupełnie. Coś nie  
coś w tej „dużej wsi”, a  
ściślej mówiąc, w bankach  
też „wsi” z dawnej for-  
tuny zostało. I choć funt  
(pound), na podobieństwo  
owego Kozaka z opowada-  
nia Franza Fischera, „wol-  
niutko spada”, forsy w  
Londynie jest na pewno  
sporo. Nie miał jej zaś u-  
bożuchny stypendysta Mi-  
nisterstwa Kultury i Sztu-

Stało się jednak to, co  
się stać musiało — dosze-  
dłem do teatru. Dostać się  
do teatru w Londynie nie  
jest rzeczą prostą. Bilety  
wykupowanie są na wiele  
miesiący naprzód. Np. na  
„My Fair Lady” („Moja  
doskonała, piękna pani”) —  
czyli na „Pygmaliona” —  
przerobionego na muzyczną  
komedię, można (i trzeba!)  
rezerwować bilety do mar-

weiskąją pod krzesła. Oso-  
biliście, po jednej nieudanej  
próbie oszczędzania: pla-  
cilem owe „sipence’y”. Wy-  
chodziłem bowiem z zało-  
żenia, że jest to bardziej  
opłacalne od pocenia się  
pod ciężarem płaszcza i  
wyczekiwanie końca przed-  
stawienia, jako kresu mę-  
czarni. Kiedy zziębnięty z  
ulgą wkładałem na siebie  
przedmiot moich udreżeń,  
myśl o zaoszczędzonych na  
szatni pieniądzech była  
ode mnie bardziej odległa  
niż wszystkie dotychczas  
wyszczerzone sputniki.

Trzeci, nieznanym u  
nas zjawiskiem w teatrze,  
jest jedzenie. W Polsce co  
najwyżej, wcinają ludzie  
słodczyce, specjalnie dobie-  
rajac takie, które są owija-  
ne w możliwie najgłośniejsz  
i najtrwalejsze szeleszące pa-  
pierki, żeby aktorzy sły-  
szeli, jaką to doborową a  
słodką publiczność mają na  
sali. W teatrach stolicy  
Imperium, w czasie prze-  
wry bileterki wnoszą tacki  
z dzbanuszkami, filiżankami,  
keksami i lodami. Pije  
się herbatę z mlekiem,  
chropie się (w czasie przerwy,  
w czasie przerwy!) keksi-  
ki... W bufecie spija się  
soki owocowe, piwa i roz-  
cieńczane specjalnym płynem  
(limonem) alkohole.

Prospekt jednej z londyń-  
skich agencji teatralnych  
(Webster & Gilling Ltd.)  
oferuje czterdzieści dzie-  
więć (49) widowisk, a jeśli  
odliczyć z tego cztery fil-  
my i jeden cyrk czterdzieści-  
ci cztery spektakle teat-  
ralne. Przynajmniej, że  
nie jest to cyfra mała. Oczywiście, widziałem z tego  
znikoma tylko część. Zaczę-  
łem od Old Vic'u. „Jak wam się  
podooba” Szekspira nie by-  
łoby z pewnością interesu-  
jące, gdyby nie świetna,  
pyszna Barbara Jefford. Jej  
Rosalinda była dla mnie  
rewelacją. Zwykle Rozalinda  
czy Viola przebiegają się  
w efektywne męskie stroje,  
przypinają sztykielki i zdo-  
bia swe główki berecikami  
ze strusim piórami. U  
Jefford-Rozalindy nie ma  
śladu tego wszystkiego. Ona  
się na łapach capes przebra-  
ła w jakąś przypadkową,  
przydługą kapość, podcią-  
gając wielgachne rękawy skę-  
powana jest „nagością”  
swych nóg (męskie przebie-  
ma trykoty) i w ogóle czuje  
się w tym wszystkim  
nie swojo.

Ktęcz jasna, to wszystko

są pozory. Orientujemy się  
wkrótce, że kapotka jest w  
świetnym kolorze, że w jej  
(kapotki) niezgrabnej formie,  
jakże zgrabna ukrywa się  
kibić, że w tym pokracznym  
wdzianku i w trykotach  
widać dopiero jaka to  
śliczna jest dziewczyna. Pani  
Jefford nie udaje chłopca,  
zgrabne kolanka ma k'so-  
bie, rusza się prześlicznie a  
kiedy już koniecznie  
chce podegrać mężczyznę...  
ech, łyżkami bym ją jadł.  
Dobry był John Justin w  
roli Orlanda, zresztą dobrzy  
byli wszyscy (świetny bla-  
zen — Alec Mc Cowen).  
Złych aktorów w Londynie  
nie widziałem. Odrotnie  
niż w innej stolicy europej-  
skiej, gdzie obok świetnych  
aktorów, każą nam podzi-  
wiać i skończone miernoty.  
W jakiej to stolicy — nie  
powiem.

Jeśli już „brać po randze”,  
powiniem być pójsę do  
„Globu”, chociażby przez a-  
ktorski sentyment do razwy.  
Gra tam znakomity aktor  
teatralny i filmowy —  
Ralph Richardson (szedł nie-  
dawno u nas obraz z nim,  
„Stracone złudzenia”, gdzie  
partnerował Michel Morgan).  
Niestety, nie dostałem się.  
Parę kamienie dalej, po tej  
samej stronie ulicy co  
„Glob” znajduje się „Queen's  
Theatre”. Byłem. Widziałem  
(pierwsze miejsca kosztują  
ponad cztery funty!) „The  
Aspern papers” — „Papiery  
Asperna” Henry James'a.  
Sztuka, zdaje mi się, nu-  
dnawa, ale grana! Warła tego  
hymnu narodowego, który  
zresztą odzwierciedla jest w  
Londynie po wszystkich  
spektaklach. Z wyjąt-  
kiem kabaretów. Pani Flora  
Robson (proszę sobie zapamię-  
tać to nazwisko) i p.  
Michel Rodgrave (patrz na-  
wias wyżej) przez trzy akty  
dają koncert dialogu i gry.  
Ci aktorzy (myślę o aktorach  
londyńskich w ogóle) nie bio-  
ra za darmo pieniędzy. Zdej-  
mują, jak się to mówi w  
gwarze teatralnej, marynar-  
ki i grają. Warto zobaczyć —  
jak, Miss Tina Flory Rob-  
son jest nie do opisania. By-  
łem tak pochłonięty jej wy-  
razem, że dopiero po wyj-  
ściu ze spektaklu uświadom-  
iłem sobie jaką rolę, jaki  
kunszt, jaki talent podziwiał-  
em przed chwilą.

A teraz w lekkiej sztuce  
— ciężkie nazwisko: Vi-  
vien Leigh! Vivien Leigh w  
„Look after Lulu” („Przypil-  
nuj Lulu”). Autor: Noel Co-  
ward. Zabawna, łóżczkowa  
farsa, w której filigranowa  
żona lorda (przypominam, że  
p. Leigh jest żoną sir Lau-  
rence'a Oliviera) rozbiere-  
się i ubierze z wielką gra-  
cją i talentem (oczywiście  
aktorskim, a nie do rozbiere-  
nia się). Będziecie mieli oka-  
zję, popatrzcie na Lulu! Ad-  
res: „New Theater”, St Mar-  
tins Lane, W.C.Z.. Parę kro-  
ków od Picadilly Circus.

Również niedaleko tego  
„pepka świata”, znajduje  
się „Theatre Royal Haymar-  
ket”. Byłem. Nie żałuję. W  
blahej komedii „The pleas-  
ure of his company” (Przyjem-  
ność jego towarzystwa”) Sa-



Vivien Leigh

muela Taylora, świetni byli  
(i będą pewnie jeszcze dwa  
lata): Coral Browne i Nigel  
Patrick. Przy okazji wspo-  
mnę, że publiczność londyń-  
ska wita pojawienie się  
swych ulubieńców na sce-  
nie sympatycznymi brawa-  
mi. Pan Patrick dostał chyba  
największe z tych, które  
słyszałem.

Wystarczy z „Heymarke-  
tu” (znajduje się przy ulicy o tej  
samej nazwie) wyjść i przejeść  
jezdnię, aby stanąć przed  
„Her Majesty's Theatre”.  
Wyszedłem, przeszedłem, sta-  
nałem, wszedłem, kupilem  
(za 15 szylingów, za mniej-  
szą nie opłaca) bilet, który,  
jak wszędzie, włożono mi do  
ładnej kopertki i w ten spo-  
sób — zobaczyłem kapitalny  
musical amerykański (pełna  
amerykańska obsada) pt.  
„West Side Story”. Chwa-  
ląc wykonawców trzeba by  
rzeczywiście przepisać cały  
afisz. Wszyscy są świetni.  
Świetne dziewczyny i tacyż  
chłopcy tańczą, śpiewają i  
grają „bez marynarek”. Nie-  
szkazitelnym spektakl, naj-  
lepszy mój teatralny wieczór w  
Londynie. Urzekająca (jest  
już na płytach) lub — miej-  
scami — wstrząsająca mu-  
zyka.

Opera „Andrea Chenier”  
Umberto Giordano w „Sad-  
dler's Wells Opera” nie wy-  
warła na mnie żadnego wie-  
kszego wrażenia i dlatego  
dość ochotnie wstałem aby  
wysłuchać tradycyjnego hy-  
mnu. Zapamiętałem nazwi-  
sko Stanisława Pieczory. Do-  
bry baryton. Polski.

Skoro już jesteśmy przy  
Polsku: „50-lecie pracy sce-  
nicznej Ludwika Lawińskiego,  
pod protektorem Amb.

Edwarda Raczynskiego,  
Lwów 1905 — Londyn 1959.

Mama przyjechała, a-  
ktualny żart sceniczny w 3  
aktach z piosenkami pióra  
Ludwika Lawińskiego”. Prze-  
pisałem z programu. „Aktu-  
alny żart” raczej żalony, za-  
to Lawiński w świetnej for-  
mie, czerstwy i rumiany.  
Śpiewała Zofia Terne, reży-  
serował Leopold Pobóg-Kie-  
lanowski. Gratulowałem La-  
wińskiemu zdrowia, wypili-  
śmy „smirnowkę”, dał mi  
swoją książeczkę pt. „Kupi-  
lem”... Daj mu Boże! Pono  
był to tegi aktor. Tegim jest  
nadał.

Impreza — odbywała się w  
małutkiej salce „Ogniska  
Polskiego”. Tu też trwają  
wroby z „Moralności pani  
Dulskiej”.

Widziałem też cinerame.  
Jedynie kino tego typu w Lon-  
dynie, a podobno i w Anglii.  
Piękne krajobrazy, oryginal-  
ne zwyczajne, tańce, stroje  
(m. in. w Australii polskie  
stroje ludowe), wyrazista  
narracja (nie było kogo, bo  
aż Orsona Wells'a. Z tą „pla-  
stycznością” i żywością obra-  
zu, gruba przesada. Nie  
miałem ani razu wrażenia,  
że spryska mnie fala morza.  
Trochę w tym i mojej winy:  
zaczęłem już bardzo oszczę-  
dzać i kupilem bilet za pięć  
szylingów. Posadzone mnie  
z wielkimi honorami... w o-  
statnim rzędzie na podnie-  
bnej „jaskółce”. Gdyby naj-  
prawdziwszy ocean spłynął  
z półkolistego ekranu na sa-  
lę, do mojego miejsca nie  
dotarłaby nawet kropelka!

Powtarzam więc raz wtó-  
ry: będąc w Londynie nie  
kupujcie tanich miejsc.



Scena z West Side Story

ki, 26 funtów, które w ra-  
mach stypendium, pozwo-  
no mi zakupić po cenie  
oficjalnej, nie stanowiły  
zbyt wielkiej fortuny. Jest  
takie angielskie powiedzon-  
ko: „Funt? O, to wiele!  
Ale gdy zmienisz funta,  
masz bardzo mało”. Są  
monety, które już nie mają  
praktycznego znaczenia.  
One farthing, 1/4 penny —  
jest już tylko kłopotem.  
Jeśli gdzieś, w jakiejś tra-  
nsakcji wypłynie. Spada  
funt, spada.

Przepraszam więc z gó-  
ry, że o żadnych szalach,  
klubach, kabaretach, noc-  
nym życiu itp. w tych no-  
tatkach nie będzie. Fe,  
brzydzą się tym. Nie byłem  
też u Rica, nie byłem w  
amerykańskiej, australijs-  
kiej, austriackiej chińskiej,  
francuskiej, greckiej, wę-  
gierskiej, indyjskiej, włos-  
kiej, hispańskiej, tureckiej  
i żadnej innej z podobnych,  
rozsianych po Londynie re-  
stauracji.

ca 1961 roku. A widowisko  
idzie kompletnie, jeśli się  
nie mylę już 2 lata.

Nim jednak w paru sło-  
wach zrelacjonuję swoje  
wrażenia teatralno-filmo-  
we, chciałbym słów kilka  
poświęcić niezwykłym dla  
nas zwyczajom, jakie do-  
nają w przybytkach Mel-  
pomeny i X Muzy. W  
teatrach i kinach angiels-  
kich wolno na sali palić.  
Także w czasie przedsta-  
wienia. Dla widza z kon-  
tynentu jest to niebywały  
shoking. Jeszcze większy  
niż dla Anglika wlanie  
mleka do herbaty a nie na  
odwrót.

Drugim, niezwykle cha-  
rakterystycznym zjawiskiem  
jest fakt, że bardzo mało  
widzów oddaje swoje okry-  
cia do szatni. Ogromnej  
większości żal jest się roz-  
stać nie tyle z płaszczem,  
ile z „sipencem” (6 penny),  
tyle bowiem kosztuje szat-  
nia. Trzymają więc palta na  
kolanach, lub zwinie, i

koer l... Małgorzata Holyńska.  
Ambitna ta autorka już  
na samym początku swej  
powieści sygnalizuje mno-  
gość spraw, w które zamie-  
rza nas zaplątać. W ramach  
takiej metody „sygnalizacyj-  
nej” Holyńska doszła do  
perfekcji. Oto początek po-  
wieści: „Drobne sygnały

uśmlechu”. Od razu wspom-  
nieć wypada, że Antoni jest  
najważniejszy. Jeśli nie li-  
czyć bożka Babaju, oczywiście.  
Zresztą i jeden i drugi  
są nieobecni. Po bożku  
została tylko uschnięta ga-  
ląz (niestety i ją później  
skradziono), a po Antonim  
legenda i nieutulna cieka-

chyba nie otrzymaliśmy tak  
szczegółowego sprawozda-  
nia z życia polskiej emigra-  
cji. Znajdziemy w nim  
wszystko — od spraw jado-  
spisu do nostalgicznych zry-  
wów i twórczych meczarni.  
Istnieje odmiana litera-  
tury, w której mieszczą się  
sprawy z różnych zupełnie

najmniej nie w kategoriach  
groteski. Szanse groteski po-  
wadżają szczególnie „wielo-  
planowość” Maria. Jest to  
bowiem kobieta nieznośnie  
skomplikowana, szczególnie  
w erotycznej sferze życia.  
Tuła się po świecie z eks-  
bratem Grzegorzem, który  
ukradł kiedyś 20 zł z kasy  
drobiazgowość, jakaś nie-  
umiejętność selekcji, spr-  
wadzająca znużenie, jak o-  
powiadanie nudnawego  
dziadka-emeryta, który  
wszystko na własne oczy  
ogładał. Postacie z Balandy  
nad Balandera traktuje się  
jak przypadkowych znajo-  
mych z poczekalni, którzy  
zanudają cierpliwych słu-  
chaczy opowiadaniem wła-  
snego życiorysu i szeregu  
codziennych czynności, a  
niekiedy (na szczęście!) nie-  
co śmieją.

## ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Wśród wielu chwytów  
formalnych, stosowanych  
nagminnie przez pisarzy  
XX wieku istnieje jeden  
szczególnie skuteczny. Pole-  
ga on na nagłym zaszoko-  
waniu czytelnika przez wrzu-  
cenie go już na pierwszej  
stronie w sam środek ko-  
tła o umiejętnie sprepara-  
wanej, sugestywnej zawar-  
tości. Oszołomiony przed-  
miot sugestii, zanim zdola  
wykonać kilka intelektual-  
nych odruchów obronnych,  
sam nie wiedząc kiedy za-  
czyta oddychać w pompu-  
jącą mu do wnętrza atmosferę  
i zgadza się już bez sprze-  
cików na koncepcję autor-  
skiego świata. Metodę tę  
stosują, choć z różnym nie-  
co skutkiem, Wiliam Faul-

# BOŻEK i EMIGRACJA

mieliśmy już w niedzielę i  
woś w pobożnym sercu  
puściliśmy je mimo uszu.  
W niedzielę umysł porusza  
się leniwie jak wąż na sło-  
bucy. Przy obiedzie profesor  
de Camillac powiedział: —  
Pewnie taszczy wieloryba...  
Na półstronicowym obszarze  
odnajdziemy jeszcze Anto-  
niego, Annę Motek, oraz  
Kapitana Słuchę, który  
krzywił się „w swoim psim

ster i o różnym ciężarze  
gatunkowym. Jest to gro-  
teska. Holyńska niewątpi-  
wie zdaje sobie z tego spra-  
wę, z możliwością tej kon-  
wencji. Jest coś z groteski  
w postaciach Antoniego,  
Anny Motek i kucharza  
Trąbiczewskiego. Ale już  
Maria i Grzegorz, tragicz-  
ni przybysze z wojennego  
świata, traktowani są by-

jej ciotki, poszukuje wytr-  
wale zaginionego męża i  
marzy przed snem o Janie  
Ogonowskim, mężczyźnie  
„z najbardziej intymnych  
snów kobiecych”.  
Fiasco groteski odbywa  
się z niewątpliwą szkodą  
dla czytelnika. Nie z tej  
jednej przyczyny jest on  
zresztą poszkodowany. Ho-  
lyńską cechuje nadmierna

DOM  
KSIĄZKI  
DOM



W popularnym francuskim tygodniku kobiecym „Elle” Jean Jacques Delacroix omawia w serii artykułów wyniki ankiety, którą przeprowadził w ubiegłym roku Francuski Instytut Badania Opinii Publicznej (IFOP) z inicjatywy grupy filmowców. Metodą „próbki reprezentacyjnej” przebadano około tysiąca kobiet wszystkich klas, środowisk i grup zawodowych w wieku od 21 do 50 lat. Niektóre pytania kwestionariusza — a było ich ponad sześćdziesiąt — zadano również dziewczętom powyżej lat piętnastu. Odpowiedzi oceniły i na ogół po-

twierdziły kobiety o szczególnych kwalifikacjach — nauczycielki, pracownice sądownictwa, służby zdrowia i opieki społecznej. Ze względu na szczerą wypowiedź oraz rzetelność informacji nieskażonych pruderią, moralnym konformizmem ani próbami idealizowania faktów, ankietę oceniono więcej niż pozytywnie, zwrócono przy tym uwagę na zadziwiająco w wielu punktach zgodność poglądów osób o biegunowo odmiennym poziomie intelektualnym. O różnicy przekonań decydował raczej wiek niż wykształcenie — intelek-

tualistki i chłopki w tym samym wieku udzielały nieraz identycznych odpowiedzi. W bogatym, nastawionym na konsumpcję społeczeństwie francuskim inne są tradycje i obyczaje niż u nas, w kraju przestającym „na dorobku”, gdzie kobiety, aktywnie współuczestniczące w działalności gospodarczej i kulturalnej, nie częściej mogą poświęcić się bez reszty sentymentom. Inaczej też rozpatruje się i rozwiązuje w naszym ustroju niektóre problemy wychowawcze. Ale marzenia i tęsknoty kobiece są chyba podobne.

gód. Tylko 6 procent uważa, że należy odpuścić piękny, za nadobne i tylko 9 procent usprawiedliwia tym argumentem wiarołomstwo ze strony kobiety. Jeżeli jednak mąż ma stałą kochankę, opacie są podzielone. Ale znowu większość radzi w ten czy inny sposób dyplomatyzować, 20 procent żąda jasnego postawienia sprawy, a tylko 4 procent namawia do bezwzględnej zerwania. Mało jest również kobiet, które starają się odbić męża kochance.

Na pytanie: czyja zdrada — męża czy żony — bardziej szkodzi szczęściu małżeńskiemu, aż dwie trzecie kobiet, panien i mężatek, odpowiada z jednokowym oburzeniem, że każda zdrada bu-

#### CZYJA WINA?

Zreasumujmy. Jedna trzecia kobiet skarży się na nieudane małżeństwo, blisko połowa przyznaje do rozczarowania w miłości, 16 procent nie wierzy w wielką miłość, 70 procent jej nie przeżyło, 17 — potwierdza wyraźną klęskę.

Wysokie cyfry. Piękne marzenie i smutna rzeczywistość. Tkwi w tej żalostnej statystyce jakaś prawidłowość, która dowodzi, że nie jest to tylko rzecz przypadku. Gdzie szukać klucza do tajemnicy nieszczęśliwej miłości?

Czy winien jest wyłącznie partner-mężczyzna? Ankietę tego nie stwierdza. A może zbieg okoliczności? By-

zresztą krótko. Wkrótce na horyzoncie pojawia się „on”. Najpierw jest to bezcielesny „książę z bajki”. Dziewczyna marzy po prostu o miłości, ale jeszcze jej nie konkretyzuje. Marzy również o sukcesach — pragnie być bohaterką, znakomitą tancerką, aktorką filmową, świątą. Notuje w sekretnym pamiętniku, że jest nieszczęśliwa, bo nikt jej nie rozumie.

Jest to moment ważny. Większość wypowiadających się w ankiecie kobiet stwierdza, iż życie ich ułożyłoby się lepiej, gdyby rodzice mądrzej wówczas postępowali.

Trochę później dziewczyna zakochuje się. Teraz w kimś istniejącym konkretnie, lecz absolutnie niedostępnym, na przykład w sławnym aktorze filmowym. Miłość na odległość jest czymś cudownym, daje upragnioną gwarancję bezpieczeństwa. Mężczyzna już ją bowiem fascynuje, ale równocześnie przeraża. A tak, marzenie rozwija się w dalszym ciągu. Aż wreszcie nadchodzi chwila krytyczna, zjawia się postrach matek — pierwszy chłopiec.

#### POZWOLIĆ CZY NIE POZWOLIĆ?

— Mamo, czy mogę pójść z Jankiem do kina?

„W jakim wieku pozwolisz córce na randkę z chłopcem?”

Odpowiedzi wahają się stosownie do wieku badanych. Najbardziej tolerancyjne są oczywiście najmłodsze, ale najstarsze nie zawsze najbardziej konserwatywne. Na sto z każdej grupy — dziewięć najmłodszych i dwie najstarsze pozwoliłyby na spotkanie córce poniżej lat piętnastu, przed osiemnastym rokiem życia dąby zezwolenie — 50 i 29, dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat — 3 i 11, tylko z narzeczoną — 5 i 20.

„Czy pochwalasz obecną swobodę obyczajów?”

Na to pytanie ankiety pozytywnie odpowiada 76 procent kobiet poniżej lat dwudziestu pięciu i 44 procent powyżej czterdziestu pięciu. Spośród matek posiadających dorastające córki 53 procent uważa sytuację za korzystną. Wydawałoby się, że Francja jest krajem postępowym. I wiele — z oczywistą grubą przesadą — mówi się o panującej tam rozwiązłości kobiet. Jeszcze jeden mit, który ankietę definitywnie obala.

Swoboda obyczajów? Współczesne dziewczęta francuskie jawnie się całują, flirtują zawzięcie, ale co nie to nie. Ogromna większość wyznaje, że męska agresywność napawa je strachem, niejedna stwierdza, że kochając chłopca zerwała, ponieważ był zbyt naturalny. Flirt flirtem, a dziewczęta trzeba szanować. Zwłaszcza na prowincji. Zdarzają się wprowadzić dziewczęta, które sądzą że doświadczenie przedmałżeńskie jest konieczne, ale starają się to uzasadnić tysiącami argumentów.

Swoboda obyczajów? Na pytanie: czy oddałabyś się narzeczonemu — połowa młodych kobiet odpowiada stanowczo: nie. Co prawda jedna trzecia przyznaje, że tak właśnie było.

Lęk przed potępieniem w opinii społecznej, wypracowanie, wychowanie stanowią dla dziewcząt hamulec zazwyczaj wystarczający. Opinia nie jest zresztą zbyt surowa, tylko 10 procent starszych kobiet gorszy się, fone traktują rzecz pobłażliwie — ot, młodzież robi głupstwa przed ślubem. To niedobrze, ale winić trzeba raczej rodziców.

Istotnie rodzice nie mogą i nie muszą interweniować, ale powinny jasno przedstawić dziewczynie wszystkie konsekwencje problemu, by mogła go później rozstrzygnąć indywidualnie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności.

Opracował: K. J.

# FRANCUZKA A MIŁOŚĆ



lub obustronna swoboda... Mój mąż, młodszy ode mnie o pięć lat, nie miał kiedyś przystojny, bogaty, elegancki, ma wytworny samochód. Ma więc powodzenie u kobiet... i mnóstwo przygód... Jestem rozczarowana i rozczłona... Niecierność jest rzeczą poważną. Nie zdradzałam go dotąd, by nie łamać wspólnoty, ale teraz, kiedy mam pretekst... nie wiem, może to nastąpi...

— Byłam zakochana do szaleństwa — informuje czterdziestoletnia pani. — Po trzech miesiącach małżeństwa przyszło całkowite rozczarowanie, zrozumiałam, że mąż nie odpowiada idealowi, jaki sobie wyobrażałam... Jemu potrzebna była żona, żeby wszystko jakoś szło... Byłam w odmiennym stanie, postanowiłam żyć odłą tylko dla dziecka... Potem nastąpiła rozłąka wojenna. Znalazłam go po latach otoczonego tłumem kobiet... Wyleczyłam się z miłości.

— Nie myślałam o rewanżu, lecz później spotkałam innego. Nie jestem kochliwą, ale to przyszło jak los. Byłam zbyt opuszczona, zbyt nieszczęśliwa. To jest prawdziwa miłość, trupa ubrew wszelkim przeszkodom. Niestety, obaj nie jesteśmy wolni. Jak długo wytrzymam?

— Gdybym zdradziła męża — pisze kobieta bezdzietna po czterdziestce — cierpliwym bardziej niż on. Wiarołomstwo jest podłe powiad, nawet gdy istnieją okoliczności łagodzące... Nie trzeba się żenić pochopnie, jak to czyni dzisiejsza młodzież. Małżeństwo, to zaangażowanie na całe życie.

Inaczej rozumie kobieta lat dwudziestu pięciu, żona wziętego chirurga, dama światowa i wytworna.

— Gdyby mąż mnie zdradził nie robiłabym scen. Starałabym się odzyskać go po kobiecemu, przy użyciu całego arsenału środków... Gdybym jednak przekonała się, że to sprawa poważna, rozmówiłabym się stanowczo, nie mam zamiaru żyć we troje... Ważna jest tylko zdrada duchowa. Przelotna awanturka się nie liczy. Sądzę, że kobieta może zdradzić męża, bardzo go nawet kochając. Mnie się to właśnie przydarzyło przed miesiącem. Nie ma specjalnej moralności, kobieta ma te same prawa... A przygoda nie wyznika z góry powziętego, sprzecywanego zamiaru, sprawie ocenia się już powlecześnie.

Rozczarowanie, uraza — oto najbardziej pospolite przyczyny kobiecej zdrady. Nie jest to może wyłącznie zemsta, jak chce znany psycholog Adler, ale istotnie bardziej niż urokowi kochanka kobieta ulega chęci poniżenia męża.

„Niech nie myśli, że jest jedynym mężczyzną na świecie, niech nie będzie tak pewny siebie.”

Niezależnie od walorów osobistych kochanek ma w oczach kobiety francuskiej jeszcze jeden niebłahy atut. Małżeństwo to zobowiązanie, rygor, poddanie się losowi, wzięcie kochanka to luksus wolnego wyboru. Nie mówiąc już o tym że kochanek stale zachowuje powab nowości, podczas gdy mąż traci nim w pospolitościach codziennego obcowania.

#### CZY MOŻNA WYBACZYĆ?

Przelotną miłośćkę męża większość kobiet gotowa jest przebaczyć. Zresztą przeszła połowa twierdzi, że mężowie zdradzają, i na ogół uznaje prawo mężczyzny do przy-

rzy zaufanie, a więc i harmonię współżycia. Prawie jedna trzecia potępia raczej wiarołomstwo kobiety, znikomy tylko procent (trzy — kobiety zamężne i sześć — młodych panien) dopatruje się klęski małżeńskiej w niestałości mężczyzny.

Pomimo wszystko bowiem Francuzka sądzi, że małżeństwo jest jej „powołaniem” i na wierność małżeńskiej pragnie budować swoje życie i szczęście. Na pytanie — czy mogłaby zdradzić męża — niemal 60 procent odpowiada zdecydowanie przecząco, a dalsze jedenaście zdaje się powątpiewać. Tylko 15 procent uważa to za rzecz możliwą i tylko 7 przyznaje się do „wykroczenia”.

W konsekwencji aż 40 procent nie zgadza się wybaczyć kobiecie zamężnej nawet przelotnej awanturki. Dla pozostałych najpoważniejszym argumentem usprawiedliwiającym podobną „słabośćkę” jest brak miłości ze strony męża. Na drugim miejscu z kolei stawia się niezaspokojenie seksualne, dalej równouprawnienie płci, a dopiero na dalekim końcu „wielką miłość”.

#### O CZYM MARZY DZIEWCZYNA

Jasne. O miłości. Na sto przebadanych panien w wieku poniżej lat dwudziestu pięciu zaledwie siedem zapatruje się na miłość sceptycznie. Sześćdziesiąt i jedna wierzy bezwzględnie, że w życiu zdarza się wielkie uczucie, choć tylko dziewięć jej przeżyło.

Ten dział kwestionariusza zawiera wypowiedzi najbardziej zróżnicowane i najbardziej zaskakujące. Okazuje się — i to jest chyba logiczne — że nadzieja na prawdziwą miłość słabnie z wiekiem, ale okazuje się równocześnie, że jedna trzecia wszystkich kobiet poznała ją z doświadczenia. Co dziwniejsze najczęściej przeżywały ją kobiety zamężne i to z młodszego pokolenia.

Ale najbardziej zadziwiający fakt, że wśród mężatek najgoręcej — obok urzędniczek — wierzą w miłość intelektualistki, one też miały najbogatsze życie uczuciowe; na sto — czterdziści kilka zaszło wielkiej miłości. Niewiele im ustępują, i co do przeżyć i co do ufności, robotnice. Najbardziej prozaicznie patrzają na świat kobiety z ludu. Tylko 32 procent oczekuje na miłość, jedynie 22 jej doznało się.

Trzy czwarte dziewcząt i młodych kobiet ludzi się miarami szczęścia, lecz miłość nie zawsze daje satysfakcję. Wśród kobiet dojrzałych połowa przyznaje się do rozczarowania lub stwierdza z gorącością, że nie było to niczym ważnym w ich życiu.

łaby to niczym nieusprawiedliwiona wiara w fatalizm. A może samo życie jest takie? Ale przecież każdy człowiek w jakiś sposób kształtuje własne życie.

Ankieta Instytutu odznacza się wyjątkową zaletą, że nie tylko stwierdza fakty, ale dociera do źródeł. I oto w drugiej części kwestionariusza znajdujemy próbę odpowiedzi na dręczące pytania.

Odpowiedź, którą autorzy poddają pod rozwagę wszystkim kobietom.

#### TABU

— U nas w domu nigdy się o tych rzeczach nie mówiło... Dozłazam do wniosku, że miłość jest czymś brudnym, czymś złym.

— Rodzice nie mówili mi o tym nigdy, nie dali mi żadnej wskazówki. Również w szkole była to rzecz zakazana.

— Orientowałam się z grubszą. Miałam zaufanie do matki, zapytałam. Zwyrodniała mi.

78 procent kobiet wszystkich grup wieku i stopnia wykształcenia stwierdza jednoznacznie, że zostały źle przygotowane do życia i że chętnie by lepiej wprowadzić swoje córki w problemy związane z miłością niż to uczyniły ich matki.

Oto fragment kwestionariusza:

„Okolo piętego-szóstego roku życia dziewczynki chcą wiedzieć skąd biorą się dzieci. Jak zareagowali rodzice?”

Wyjaśnili należycie — 50%, nie wyjaśnili wcale — 81%.”

„Czy w okresie pokwitania rodzice wyjaśnili ci należycie, jakie zmiany zachodzą w organizmie kobiety?”

Tak — 25%, wcale — 41%.”

„Czy okolo osiemnastego roku życia rodzice zaznajomili cię z problematyką życia płciowego?”

Wystarczająco — 15%, wcale — 51%.”

Znamienne, że spośród kobiet uważających, że przygotowanie je należy, znaczną większość należy do najmłodszej grupy.

Najczęściej matki — tak twierdzą psychologowie — nie znają psychiki wieku dojrzewania, wieku znacząco niewdzięcznym. Okres ten dziewczęta przechodzą ciężko. Dzieje się z nimi coś niezaleźnego od ich woli, odczuwają dumę, że oto stają się dorosłe, a jednocześnie wstydzą się tego i boją. Zaczynają patrzeć krytycznie na siebie i na otoczenie. Zaczynają się buntować, stają się ktnąbrne. Bunt ten może rozbroić wyrozumiałość i serdeczność, ale nigdy zrytowanie i despotyzm rodziców. Kategorie nakazy i zakazy do niczego wówczas nie prowadzą, a to jest właśnie najpospolitszy błąd dorosłych. W przypadkach skrajnych kończy się często ucieczką do domu, a nawet przedczesnymi stosunkami płciowymi. Ten chorobliwy okres trwa

#### INSTYTUCJONALNY „TEN TRZECI”

Pamiętam z powieści, że sztuk teatralnych i filmów klasyczny już motyw małżeńskiego trójkąta. Nieuświadomioną dziewczynę, niekiedy wychowaną w klasztorze, rodzice — wbrew jej woli — wydadają za mąż za człowieka z „pozycją”. Po ślubie mąż zbija majątek, a jednocześnie nie rezygnuje z kawalerskich nawyków. Zaniedbywana kobieta pragnie używać życia, szuka sobie kochanka. Póki dba o reputację i zachowuje pozory, wszystko jest w porządku. Świat o tym wie, ale milczy, mąż-rogacz także przymyka oczy. Żadna ze stron nie zerwie, bo to by zaszkodziło interesom. A zresztą „wszyscy tak robią”, „taka jest trady-

cja”. Ale zakłamanie się mści — w sumieniu odzywają się relikty patriarchalno-monogamiistycznych wzorów obyczajowych — i kobieta czuje się nieszczęśliwa. W dodatku amanta nie kocha, bierze go tylko dla rozrywki i pilnie wystrzega się zgubnej namiętności. A gdyby nawet zakochała się naprawdę, raczej wyrzeknie się miłości niż ustalonej, szacownej i wygodnej sytuacji społecznej.

Podobnych, idyllicznych obrazków nie brakowało w epoce finansowego uzależnienia kobiety. Bywa tak i dzisiaj, ale coraz częściej Francuzka brzydzi się hipokryzją, ma odwagę przeciwieć krepującą ją więź. A jednak i dzisiaj co trzecia wyznaje, że jej małżeństwo jest nieudane. A jednak co piąta zdradza męża.

#### DLACZEGO KOBIETA ZDRADZA?

— Istnieje tylko dwie możliwości — pisze dojrzała kobieta, matka dwunastoletniej dziewczynki — obustronna wierność



# Władysław Rymkiewicz ROMANS KROLEWSKI

Powieść historyczna

VII.

## Streszczenie

Romans króla Jana Kazimierza z żoną podkanclerzego Radziejowskiego budzi oburzenie szlachty i dworu. W przededniu bitwy pod Beresteczkiem Jan Kazimierz dowiaduje się od pani Radziejowskiej o wymianie podważającej autorytet królewski listów między podkanclerzym, a królową Marią Ludwiką. Król zwołuje w swoim namiocie naradę magnatów.

Pograżony w modlitwie przed obrazem błogosławionego Jana z Dukli ksiądz Wojciech Cieciszewski wstał z klęczek i zginając się pokornie ucałował pierścień z relikwiami na palcu księcia Kościoła.

Srebrny kozak ustawił cztery stołki w półkole przed królewskim krzesłem poręczowym.

— Siadajcież, proszę, waszmościowie! — sztywnym ruchem wyciągniętej ręki zaprosił Jan Kazimierz swych gości do zajęcia miejsc. — Siadajcie, proszę!

Spacerując po dywanie deptał z wściekłością, dziurawił i rozdzierał ostrogami wzorzystą tkaninę. — Przychwyciliśmy dzisiaj w poczcie do Warszawy epistołę z obozu pisaną przez pana Radziejowskiego do królowej jejmości.

Zatrzymał się starając się odgadnąć z wyrazu twarzy wrażenie, jakie wywołała wiadomość.

— Oto rzeczona epistoła! — pomachał skrypitem. — Czytaj, proszę, księże biskupie! — wręczył kanclerzowi list z nadłamanymi pieczęciami.

Książę Kościoła przestał gładzić trefioną asyryjską brodę.

— Stąd proszę czytać, Eksceleńco! — król trzęsącym się palcem pokazywał linijkę tekstu w liście. — Stąd!

Kanclerz jak dalekowiedz wyciągnął przed siebie na całą długość oba ramiona i popatrzył z ukosa na pergamin. — Byłoby co większym między wielą innych w wojsku naszym zgorszeniem jak częsta i wielka w radach raz umówionych inconstancja? Bo lubo co już gruntownego w jednej radzie stanęło, za ładą wiatru powiewem albo wieści jakiej, choć płońskiej, zmieniało się wcale w co innego — równym, gęstym basem czytał. — Za przesyłanych królów lubo w obozie bywali Maiestas Regia zostawała zawsze przy nich, a przy wodzach i urzędnikach wojskowych zupełna ich urzędów autoritas. Teraz za radami cudzoziemców czyli też za własnym rozumem, idąc król nowych zazywał do powinności tamtych należących osób. Hetmani nie byli hetmanami, oboźny nie oboźnym, strażnik nie strażnikiem, a król wszystkim chce być.

Duże oblicze Eksceleńcy obramowane piaszczem bujnych kasztanowatych włosów zadrgało z oburzenia.

Pan Lubomirski zajął z ciekawością przez ramię księdza biskupa na pergamin falujący w białych palcach z pierścieniem z relikwii.

Kanclerz czytał dalej o

nieposobności i nieumiejętności króla w regimentowaniu wojskiem, o sprzecznych i znoszących się wzajemnie rozkazach królewskich, które wywołują zamęt w wojsku. „bo co za jedno poszanował, to drugim rozpruł“ — i tym razem zatrzymał się w czytaniu i zakolysał głową w fioletowej piusce, jak gdyby nie dowierzając temu, co miał przed oczami.

Pułkownik Czarniecki ścisnął mocno w garści zmierzwiłone kudły czarnej brody i spozierał ponuro w ziemię.

Wreszcie o radach lekkich i niestatecznych, o ciągłej zmianie planów przez króla czytał kanclerz, i o takim bezholowiu w dowództwie, że o zwycięstwie marzyć nie można, a tylko trzeba prosić Boga, żeby się to wszystko na ostateczny upadek i zgubę Rzeczypospolitej nie obróciło.

Książę biskup wznosił oczy ku płóciennemu sklepieniu namiotu, westchnął przeciągle i przeniósł wzrok na skrypt. — Co się zaś tyczy elekcji za życia króla, o czym rozmawiałem z Mościwą Panią, czytała, to sprawa ma wielu niechętnych, ale największym jej wrogiem jest król jego mość.

Pergamin wypadł z rąk Eksceleńcy i spłynął na dywan. Książę Cieciszewski podniósł list i podał królowi.

Jan Kazimierz rozpostarł szeroko ramiona: — Radzicie tedy waszmościowie co czynić wypada! — zawołał nieco piskliwym głosem. — Bo mnie już ręce opadają w rządzeniu tym narodem, w którym wszyscy, duży i mały, zmagają się na szkodę króla.

Dwa trójramienne lichterze z płonącymi świecami rzuciły rudy poblask na haftowany złotem karmazynowy aksamit ścian, wygniatanych z zewnątrz przez wściekle uderzenia wichury. Na ścianach poruszała się wielki chybottliwy cień gestykulującego króla, poruszał się cień jak wielki czarny pajak.

— Jeżeli ja taki zły i nieudolny monarcha, jak mnie oskarża pan Radziejowski, to dla Boga, chętnie ustąpię tronu innemu!

Jan Kazimierz opadł w miękkie dywanowe krzesło z poręczami i ukrył twarz w dłoniach. — Ustąpię tronu innemu — zrywającym się głosem mówił łkając. — Niech on wypije za mnie ten kielich goryczy, który co dnia podsuwają królówi do ust waszmościowie.

— Najjaśniejszy panie! —

Butler pochylał się nad Janem Kazimierzem, objął króla opiekuńczo za ramiona. — Najjaśniejszy panie! Nie pozwólmy triumfować oszczercy, godnemu pogardy mego miłościwego pana, lecz nie też.

Dworzanin wstał. Tragycznym gestem załamał ręce ksiądz Cieciszewski, wznosił oczy błagalnie w górę. Kanclerz biskup Leszczyński podszedł do króla.

— Na Boga żywego, nie myśl o tym nawet, miłościwy panie! Grzeszy ciężko, kto mówi o opuszczeniu swego narodu w tak poważnej chwili, w tak wielkim nieszczęściu, jakie nam dziś grozi — tłumaczył poważnie i surowo, powściągnąwszy gniew i starając się na-

dać głosowi ton duszpasterskiej słodyczy.

— Tedy oddalacie ode mnie to natrętne, przebrzydłe i dokuczliwe indywiduum — Jan Kazimierz zwinął się, skurczył w fotelu i żałł się jak skrzywdzone dziecko. — Nie chcę, żeby mnie dręczył swą przykią obecnością i przesłałował radami. Dostyc mi po aim!

Rozumny i przebiegły książę Kościoła wznosił uspokajająco białą dłoń. — Pan Radziejowski winien być odsunięty od osoby króla jegomości.

— Tak! Tak! Odsunięty. I na zawsze. Niech się stanie wedle twojej rady, księże biskupie.

Jan Kazimierz wstał. — Powiedźcie podkanclerzemu, żeby się nie ważył nachodzić mnie ani w polu ani w namiotach, ani w bitwie, ani w radzie, nigdzie i nigdy! Niech mi zejździe z oczu i przepadnie na zawsze. Patrzec na niego nie mogę, tak mi obmierzył — zacerwienione i spuchnięte oczy króla błynęły nieprzytomnie. — I zaraz idźcie do niego waszmościowie i zanieście mu moją wolę. Ty, Eksceleńco — uściśnij ręce księdza biskupa. — I ty, marszałku — zwrócił się do pana Lubomirskiego.

Marszałkowi uniosła się górna warga razem z gęstym płowym wąsem tak, że spod splecionej gęstwy ukazały się wyszczerzone zęby. — Z duszy i z serca bym rad — łukiem zgarbionych pleców i półkołem rozłożonych ramion pochylał się w niskim, czolobitnym ukłonie. — Ino że mi nie przystoi, jako żem razem z nim konkurował niegdyś o rękę cudnej jejmości.

Jan Kazimierz odwrócił się porywczo i pogardliwie od pana Lubomirskiego, który przemawiał z ubolewaniem do królewskich pleców: — ...i dostałem kosza. Tedy powiedźcie gotów, że go z animozji sekuję.

— A więc ty, Eksceleńco, w asystencji pana Czarnieckiego i Butlera — postanowił król. — Ito zaraz — nalegał niecierpliwie się jak człowiek, który nie jest pewien, czy starczy mu siły, żeby wytrwać i przeprowadzić powyższe postanowienie. — Żeby mi go tu czasem licha nie przyniosło. Zaraz. Niech zdrójca nigdy więcej twarzy mojej nie ogląda. Weźcie ów list.

Butler podniósł zasłonę przepuszczając wychodzących kolejno dygnitarzy.

Wiatr sygnął piaskiem w twarz, targając i zawinął długimi włosami biskupa opadającymi spod piuski na ramiona.

Bezustanny gwar kilkudziesięciu tysięcy głosów płynął nad obozem. Z gwaru wybijały się hukne wawy podochoconych gości przy stołach podkanclerzego Radziejowskiego.

Thumy szlachty otaczały namiot turecki o siodlastym dachu z podniesioną zasłoną nad szczęśliwymi biesiadnikami którym udało się dotrzeć do stołów.

— Namiot jak Eksceleńca widzi, ogromny, o paru izbach — powiedział Butler. — Trzeba by go obejść i postarać się precisnąć od tyłu.

Dworzanin rękodajny wprowadził przybyłych do namiotu i pobiegł zawiadomić pana Komosa namio-

towa była podbita zielonym niderlandzkim tabinem z wyszywami złotym jedwabiem herbami Kazanowskich. Przez ściany, odgradzające część, odbywał się bankiet, słychać było donośny przepity głos podkanclerzego Dębickiego. — Ani wojsku, ani szlachcie na odwadze nie zbywa, ale wodza nie mamy.

Po tych słowach zapadła cisza i dał się słyszeć stentorowy głos pana Radziejowskiego: — Nie ma racji pan Dębicki! Nam nie tylko dowódcy wojskowego trzeba. Nam trzeba wodza narodu, mości panowie.

— O to, to! — rozległy się potakiwania pochlebców. — Vivat Radziejowski! — nuta fałszywego entuzjazmu zgrzytnęła w okrzykach przekupnych krzykaczy. Za czym fala wrzawy opadła i znów było słychać

balasu ukazał się podkanclerzy Hieronim Radziejowski w puklerzu, na który opadały kędzierzawe loki czarnej peruki, okalającej zgrzaną i zacerwienioną od trunksów twarz.

Za panem Radziejowskim wtoczył się grubas w zielonym kontuszu, zmietym i poplamionym sosami, z roztrzęsionym wąsem i lśniącymi tłuszczem pucołowatymi policzkami.

Miękkim, czającym się krokiem przybliżył się podkanclerzy do gości. Piomyki świec odbity się w polyskującym szklawie szmelcowanego pancerza jak w lustrze. — A a a! — zdziwił się z przesadną uniżonością. — Witam waszmość panów! Sługa Eksceleńcy!

Szerokim gestem klasnął w ręce. Wpadł hajduk w żółtych i błękitnych atłasach.

— Refńskiego!

Książę biskup wznosił nieśpiesznie dłoń. — Nie czas na dobrą myśl, mości podkanclerzy.

— Co? Co? — podczaszy Dębicki wysunął się zza pleców Hieronima Radziejowskiego i wytrzeszczył groźnię szklące się z opilstwa oczy. — Odmawiać... Tak wielkiemu panu — belkotał wyzywająco.

— Odstąp wasz — sztywnym ruchem ręki odgrodził się wyniosłe książę Kościoła od opoja. — W imieniu króla jegomości przycho-

dzimy. Wstyd, panie podkanclerzy! Wstyd i hańba!

Opadła wrzawa z ścianą. Trzepocząc wzdymały się i kłapały cwelichy namiotowe na wietrze.

Hieronim Radziejowski cofnął się nieco. — Wrogiem mi — piaską ręką uderzył się w puklerz — kto o hańbie Radziejowskiego gada.

Książę biskup wznosił głowę, spojrzął z beznamiętną pogardą na znieruchomiałego w patetycznym geście obrazu magnata z ręką na puklerzu — Serce truchleje, a sumienie odpycha od siebie myśl że minister Rzeczypospolitej, senator i doradca Korony sieje niezgodę pomiędzy królem a królową, wzbudza nieufność między małżonkami, oszczerstwem plami sławne imię monarchy i zleważa Ma-

jestal.

— O kim to Eksceleńca? — gniewne zdumienie wyżłobilo zmarszczki na czole pod rzadką grzywką peruki czarnej peruki, okalającej zgrzaną i zacerwienioną od trunksów twarz.

— Mości oberszterze! — kanclerz wyciągnął rękę za siebie. Podkomorzy podał szybko pergaminowy skrypt. Książę biskup wręczył list podkanclerzemu. Ogromny i wyniosły jak Mojżesz, górował wzrostem i postawą nad Hieronimem Radziejowskim. — Czytaj waszmość! — postłuszną nakazom pokory i miłości chrześcijańskiej, z trudem hamował wzburzenie.

Podkanclerzy z szumem rozwinął papier z nadłamanymi pieczęciami, przybliżył się do święty i pochylał się nad skrypitem.

Za ścianą wezbrała gwałtownie i równie nagłe opadła fala wrzawy.

Pan Radziejowski wznosił znad listu twarz przeciętą grymasem, którym chciał wyrazić szyderczy śmiech, lecz który wyrażał wściekłość i zaskoczenie, i żawód. Podejrzliwym spojrzeniem widł spod nastroszonych brwi po wystannikach królewskich. I nagle wyciągnął rękę z papierem, jakby go chciał zwrócić, lecz nie zwrócił, tylko wskazującym palcem drugiej ręki wycelował w szleszczący pergamin, drżący i falujący, i pokazując pal-



Rys. Tadeusz Kościelny



Leopold Beck, redaktor naczelny „Karuzeli”, wiek i wzrost: średni, twarz: jak na zdjęciach, włosy: czarne (nie posrebrzane), charakter: zależy jak dla kogo, stan cywilny: żonaty (oczywiście, z dziennikarką!). Dla przyjaciół otwarty, dla nieprzyjaciół posiada piękny zestaw rabeli-sowskich epitetów. Samochodu prywatnego nie ma. Można go spotkać codziennie w redakcji „Karuzeli”, gdzie jest nie tylko naczelnym ale i udzielnym jeśli sekretarka powie, że nie ma go w redakcji, to znaczy, że konfektuje w sasiadującym z „Karuzelą” Klubie Dziennikarza. Lista przyjaciół jest dłuższa niż lista honorariów z „Karuzeli”, a nieprzyjaciół... kto ich nie ma!

„Karuzela” jako pierwsza z redakcji łódzkich została zelektryfikowana: „Wstęp za naciśnięciem guzika”. To służy odpowiedni nastrój. Ale trzeba dodać, że w gabinecie Naczelnego ten nastrój się potęguje. Na ścianach wisi rysunki satyryków (dobrze), a na biurku — pekaty Hubertusa. Z miejsca przystępuje do „ataku”. Leopold Beck próbuje swych sił w różnych twór-



czych genre'ach (wymieńmy parę przykładów: jest tłumaczem librett „Czar walca”, „Baju w Sovoyu”, „Ucieczki do szczęścia”, ostatnio przełożył razem z Włodzimierzem Słobodnikiem „Paryskie perfumy” Offenbacha; jest autorem bajek scenicznych, monologów i piosenek, z Waldem „Bomba wybuchnie o siódmej”, pisze recenzje teatralne itd). Jak powiedziano, jest redaktorem „Karuzeli” która przekroczyła dawno pół miliona nakładów. Jakże zasadnicza i na pierwszy rzut oka uderzająca cechą tego pisma jest to, że nie jest ono redagowane „sobie a muzom”. Nakład „Karuzeli” stale wzrasta, mimo że pewien łódzki satyryk zamierza w niej publikować dopiero wtedy, kiedy osiągnie milion.

Stwierdziliśmy, że to, co się nadaje do „Karuzeli” często nie nadaje się do „Szwilek”. Nie oznacza to wcale, że „Karuzela” jest gorsza. Jest inna.

„Karuzela” ma największy nakład spośród pism tego pokroju w Polsce (a drugie miejsce w Europie środkowo-wschodniej, za „Krokodylem”). Zapytałem czy redaktor naczelny ma tutaj jeszcze jakieś życzenia. Freudowski charakter tej uwagi widać wyraźnie: „Uzłowiek szczęśliwy nie fantazjuje nigdy, lecz tylko człowiek o pragmatycznych niezaspokojonych”. „W takim razie — odpowiada redaktor Beck — wolę być człowiekiem nieszczęśliwym i życzyć „Karuzeli” milionowego nakładu.

Rozmowa zesłała na tory „osobiste”.

Redaktor Beck przebywa w Łodzi od lat piętnastu. Stosunek człowieka do środowiska, w którym żyje, jest zawsze skomplikowany. Ulegamy wpływowi środowiska, ale również przeciwstawiamy mu się. Bilans w wypadku Becka, wypada na korzyść miasta. Beck w swoich życiowych wojażach poznał wszystkie stolice Europy za wyjątkiem krajów skandynawskich i Wielkiej Brytanii. Jak na tym tle wypada nasza Łódź? Mówi się, że miasto jest nie kulturalne. Od czasu do czasu pojawiają się w prasie warszawskiej elakubracje na temat łódzkiej pióra... często łódzian. Nie wszystkim jest w Łodzi dobrze. To czarne i rzekomo niewdzięczne miasto jest jeszcze bardziej czarne w ich cenzurkach. Jak Pan ocenia te wypowiedzi?

„Nieprawda — odpowiada



redaktor. — Nie widziałem swoboda o „podkasanej miasteczku” (która jest jego hobby), jak i o organizacji wydawnictwa prasowego, sygnaty anegdotali, osadzony jest mocno w atmosferze łódzkiej ulicy, łódzkiej kawiarni, teatru, mimo że jest rozkończony w krainie swojej młodości, w Wiedniu, na dowód czego jako jeden z ostatnich w Polsce, albo ostatni ma w gabinecie redakcyjnym portret Franza Josepha Co nie znaczy, że jest monarchista. Ale złośliwi twierdzą, że chce pogodzić w swojej dzielnicy socjalizm z monarchią. W redakcji i w domu doskonale mu się to udaje.

TEKST: PAT  
ZDJĘCIA: BIL

Łódzian/E 1960

## U Leopolda Becka



Beck, Ibis-Jankowski i Baraniecki

(Dokończenie ze str. 4)

wu. Łatwo, jakże łatwo udowodnić słuszność tez sartrowskich na teście Millera. Willy Loman staje się adekwatnym przykładem daremności wysiłków człowieka, niemożności ludzkich dokonań.

Istnieje wreszcie trzecia możliwość interpretacji, również skrajna co poprzednie: dramat antyczny. A więc prezentacja widzowi racji równorzędnych — i równowartościowych. W tym ujęciu, podobnie zresztą (ale niekoniecznie tak samo) — jak w poprzedniej wersji dramatu o daremności — wszystkie realia współczesnego życia, cała tkanka obserwacji obyczajowej, będą tylko mało ważną kanwą dla pokazania wyabstrahowanych idei.

Myślę, że powszechna opinia o dramatach Millera także właśnie rozwiązanie podsuwa. Popularne stało się ostatnio porównywanie twórczości amerykańskiego dramaturga do wielkich tragedii antycznych, czy też... ostatecznie do Szekspira. I oto rodzi się zabawne, werbalne nieporozumienie. Oceną wartości sztuk Millera dyktuje realizatorom — odczytanie tekstu.

Tu pewnie leży powód głównych słabości spektaklu „Śmierć komiwojażera” w Teatrze Nowym. Gdzieś zagubiono wielopłaszczyznowość millerowskiego dramatu, podjęto najbardziej chybą ambitne — ale skrajne

rozwiązanie „teatru ogromnego”.

Zresztą — sam dramaturg w wielokrotnych enuncjacjach podsuwa niemal „na widelcu” ogólne intencje swoich dzieł: „Fatalnie przysłużyli się dramaturgowie społecznemu jego przyjaciele i wrogowie, głównie dlatego, że tak często przypisywali

całą — przynajmniej to — tendencyjność dramatu Millera, Warmiński poczynił wiele wysiłków, by stworzyć jakiś niezrozumiały dystans do przedstawianych wydarzeń, chciałoby się powiedzieć — dystans „obiektywnego spojrzenia”. W efekcie odczuwamy słuszność wielu racji — racji synów komiwojażera,

całą — przynajmniej to — tendencyjność dramatu Millera, Warmiński poczynił wiele wysiłków, by stworzyć jakiś niezrozumiały dystans do przedstawianych wydarzeń, chciałoby się powiedzieć — dystans „obiektywnego spojrzenia”. W efekcie odczuwamy słuszność wielu racji — racji synów komiwojażera,

mu funkcje reformatora i wychowawcy. Jest to po prostu dramat, który stara się znaleźć wyjaśnienie czynów człowieka nie tylko w ciasnym światku jego zmysłów, ale w fakcie jego istnienia jako określonej jednostki w określonym społeczeństwie. Społeczeństwo nie jest dla człowieka tłem, ale tkwi w nim samym... W wielu umysłach proces łączenia jednostki ze społeczeństwem odbywa się w sposób mechaniczny... Ale ryba częściej składa się z morza, a morze — częściej z ryby”.

całą — przynajmniej to — tendencyjność dramatu Millera, Warmiński poczynił wiele wysiłków, by stworzyć jakiś niezrozumiały dystans do przedstawianych wydarzeń, chciałoby się powiedzieć — dystans „obiektywnego spojrzenia”. W efekcie odczuwamy słuszność wielu racji — racji synów komiwojażera,

całą — przynajmniej to — tendencyjność dramatu Millera, Warmiński poczynił wiele wysiłków, by stworzyć jakiś niezrozumiały dystans do przedstawianych wydarzeń, chciałoby się powiedzieć — dystans „obiektywnego spojrzenia”. W efekcie odczuwamy słuszność wielu racji — racji synów komiwojażera,

całą — przynajmniej to — tendencyjność dramatu Millera, Warmiński poczynił wiele wysiłków, by stworzyć jakiś niezrozumiały dystans do przedstawianych wydarzeń, chciałoby się powiedzieć — dystans „obiektywnego spojrzenia”. W efekcie odczuwamy słuszność wielu racji — racji synów komiwojażera,

całą — przynajmniej to — tendencyjność dramatu Millera, Warmiński poczynił wiele wysiłków, by stworzyć jakiś niezrozumiały dystans do przedstawianych wydarzeń, chciałoby się powiedzieć — dystans „obiektywnego spojrzenia”. W efekcie odczuwamy słuszność wielu racji — racji synów komiwojażera,

żyła fałszywej sprawie. Nieustanna gra na najwyższych tonach chwilami stawała się nużąca. W prostszej, bardziej kameralnej i intymnej inscenizacji dramat komiwojażera zabrzmiałby głębiej.

Scenografia Rachwalskiego i Zaborowskiej — wizualnie interesująca, lecz znów wy-

abstrahowana z jakiegokolwiek miejsca na ziemi, wyjąwszy mglisty zarys drapieżcy. (Przy okazji scenografii — łatwo zauważyć, jak bardzo męcza się aktorzy w szczupłych klateczkach przepołowionej chatki, lub na płaszczyźnie pieterka wielkości niemal znaczka pocztowego. Kiedy tylko akcja przenosi się na proscenium — od razu wszystko ożywa, aktorstwo staje się bogatsze, wyraziście).

Rola Willy Lomana może być marzeniem każdego aktora, który przestał już grywać Hamleta. Złożona i wieloznaczna sylwetka psychiczna starego komiwojażera daje aktorowi okazję do pokazania całej skali możliwości. Po obejrzeniu kreacji Mariana Nowickiego zastanawiałem się długo, dlaczego ten aktor był tak mało zauważalny w dotychczas-

wych przedstawieniach Teatru Nowego. Rolę Lomana poprowadził bezbłędnie, pannał nad całym widowiskiem, czasem nawet wbrew intencjom reżysera. Szczególnie wstrząsająca była scena rozmowy z Howardem, kluczowa dla tej roli. Nowicki uchronił się przed monotonią „najwyższych tonów”, stopniowo cieniował rolę, powoli wzbogacał ekspresję gestu i słowa.

Z pozostałej obsady, o nierównych osiągnięciach w tym spektaklu wyróżniłbym Tadeusza Minca, a zwłaszcza

Janine Jablonowska — przede wszystkim za jej wielką scenę, gdy wygania z domu synów. Znakomite aktorstwo! Zresztą — zamiast mnożyć przymiotniki, powiem tylko, że Jablonowska przypomniała mi w tym momencie — Helene Weigel z brechtowskiej inscenizacji „Mutter Courage”.

„Śmierć komiwojażera” Artura Millera. Insc. i reżyseria L. Warmiński, scenografia I. Zaborowska i S. Rachwalski. Państw. Teatr Nowy.

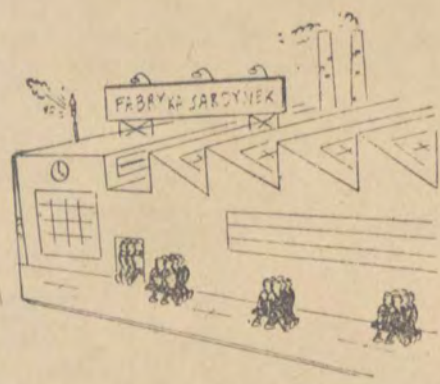
## „Śmierć komiwojażera” w Teatrze Nowym



„Śmierć komiwojażera”. Willy Loman — MARIAN NOWICKI, Kobieta — EUGENIA HERMAN



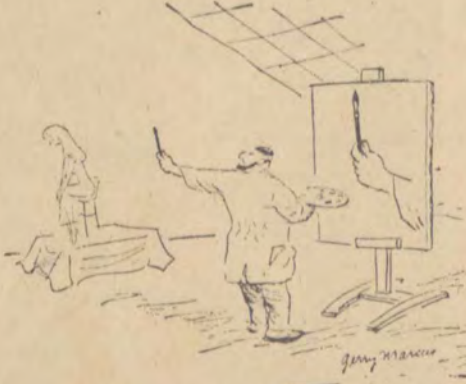
# Najostrzejsze ołówki świata



Ameryka 1958

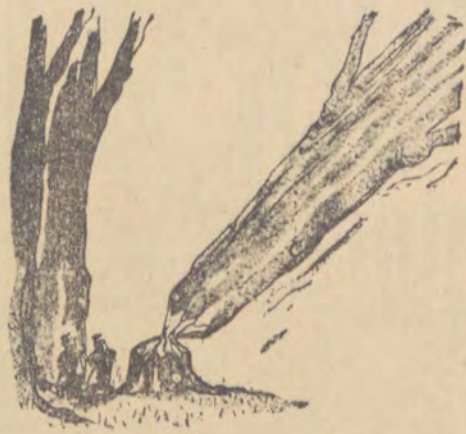
**Jerry Marcus**

Gdy niespełna dwa lata temu rozpoczęliśmy cykl „Najostrzejszych ołówków świata” — Jerry Marcus był mało znanym rysownikiem, z rzadka tylko drukującym na łamach wielkich magazynów. Dziś należy on do najpopularniejszych karykaturystów



Bez podpisu

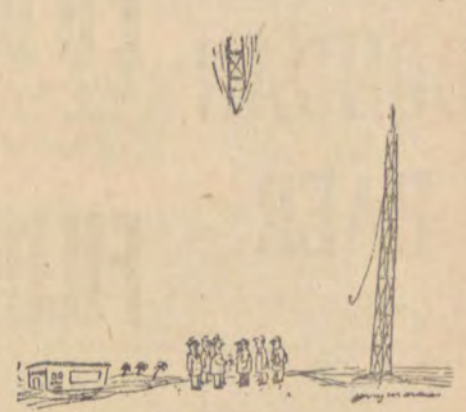
USA, a jego żarty obiegają niemal cały świat. Skąd się wziął ten sukces? W ostatnich latach amerykański humor rysowany jakby trochę skostniał w wąskiej tematyce obyczajowej, w niestannym uprawianiu jedynej formy —



Patrz! Oto spada 80 milionów wykalacek...

żartu absurdałnego. Marcus potrafił przekroczyć ów zaklęty krąg, w jego rysunkach doszły do głosu weale poważne problemy współczesnego świata, nowoczesnej techniki i cywilizacji — ba, nawet ważne problemy społeczne. I jeśli nawet brak karykaturom Marcusa wyraźnie określonej filozofii — to jednak potra-

fią zafrapować odkrywczością tematyczną, pomysłowością sytuacji — wolnych od natrętnej symboliki i taniach uogólnień. Oto rysunek, który był przedrukowany w tysiącach pism na całym świecie — „Ameryka 1958” — żartobliwa ilustracja zautomatyzowania człowieka w systemie produkcji taśmowej.



Bez podpisu

Oto inny żart z poligonu rakietowego, narysowany po serii nieudanych prób z raketami w USA. Oto wreszcie żart, ukazujący nauki myślowe nowoczesnej cywilizacji — gdzie stare, piękne drzewo określa się wyłącznie jako sumę wyprodukowanego zeń towaru...

J-ERT

# Mieszanińcy

pod redakcją Jana Huszczy

## WYJAŚNIENIE

Już wiem na pewno i cieszy to mnie: nie jestem wieszczem! Gdy o me życie śmierć się upomni, w nocce się zmieszczę...

Nie będzie żadnym przedmiotem sporów moja rodzina. Nikt nie zapyta o treść wieczorów w dawnych jaśminach.

Nie zaciekawię ani przez chwilę cnej potomości. Śmiało, Delfiny czy też Maryle, w mym domu goście!

Bardzo mi przykro, komentatorzy, że zawiódł krzyż: z mego powodu lauru nie włożył nikt na tyśnię!

Choć przy goleniu nieraz się zatnę, choć mam nalogi, zostanie dla mnie moje prywatne życie ubogie.

Dla was to piszę, wścibscy sąsiedzi, dajcie mi spokój! Niech moich kroków nikt z was nie śledzi, nie czycha w mrok!

Po co rozróbki? Po co ostracyzm oraz donosy? Weźcie się, wścibscy, raczej do pracy, w niej nasze tosy!

(Z tomu „Wierszy wybranych”, który ukaze się nakł. Spółdz. Wyd. „Czytelnik”)

## Wiadomości prawie z ostatniej chwili

### Jeszcze jeden głupi kawał

Na jednej z bocznych ulic Warszawy od kilku miesięcy tamował ruch przechodniów i pojazdów postawiony w poprzek szlaban z latarką i napisem: „Uwaga! Roboty drogowe!”.

Dopiero wczoraj okazało się, że ten szlaban z latarką i napisem był dziełem nieodpowiedzialnych kawalarzy.

### Znowu spadają z dachów

W miejscowości W... spadł z dachu nauczyciel C... na wiadomość o tym, iż otrzymał przydział mieszkania

zgodnie z zanotowaną w dzienniku pism wchodzących kolejnością podać.

W miasteczku B... spadła z dachu niejska Z..., gdy jej zakomunikowano, że zgubione przez nią pieniądze zostały przez znalazcę oddzione jeszcze tego samego dnia do miejscowej komendy MO.

W Łodzi spadł z dachu student historii N..., gdy go koleżanki poinformowały, że



## Ciekawostki

W ubiegły piątek, 29 stycznia br., łódzki „Motozbyt” przyjmował zgłoszenia na, o trzymane dodatkowo „Wartburg”. Choć ilości były zeszajaco skromne, a zawiadomienie ukazało się dopiero w przeddzień zapisów, amatorów było wielu i niestety, większość odeszła znow z przysłowiowym kwitkiem sprzed drzwi „Motozbytu”.

Największe zainteresowanie wzbudziły oczywiście zupełnie do tej pory u nas nieznanne „Wartburgi de Luxe”. Mimo słonej ceny (92.000 zł) były one ze wszech miar pożądanym obiektem z uwagi na za-

powiedziany krótki termin dostawy. Mają one bowiem nadzieję jeszcze w bieżącym kwartale.

Samochody marki „Motoskiewicz 407”, które nadeszły w roku bieżącym, również i do łódzkiego „Motozbytu”, mają ulepszoną, czterobiegową skrzynię biegów. Podnosi to znacznie wydajność samochodu, zwiększa zrywność i oszczędność eksploatacji.

Sprowadzane w latach 1958/59 samochody tej marki i tego typu miały, jak wiadomo, trzybiegową skrzynię przekładniową.

## Warto się zastanowić

...nad sprawą zadrzewienia naszych dróg...

Wszystkie nasze główne arterie komunikacyjne są obsadzone drzewami, często starymi lipami, których rozłożyste konary łączą się baldachimem nad szosą, tworząc majestatyczne sklepienie nad

jezdnia. Sadzono je z reguły w czasach, gdy jeśli nie jedyne, to najpewniejszym środkiem lokomocji był koń i zaprzęg konny, a cień rosnących po obu stronach szosy drzew dawał przyjemny chłód zmęczonym upałem zwierzętom, chronił je przed natrętnymi muchami, a ludziom pozwalał odpocząć i nakarmić strudzone konie.

Dziś, wraz z rozwojem motoryzacji na szosach zapanał samochód. Codziennie czytamy w prasie o wypadkach samochodowych na naszych szosach; codziennie gina w tych wypadkach ludźle. Jak wykazują statystyki, ilość ofiar śmiertelnych w wypadkach drogowych jest proporcjonalna do zadrzewienia dróg: im więcej drzew na skrajach szosy, tym więcej trupów w katastrofie drogowej.

Jesteśmy za pięknym krajobrazem, jesteśmy za zadrzewianiem nieużytków, jesteśmy za sadzeniem drzew obok zabudowań, ale równocześnie jesteśmy stanowczo za wycięciem drzew rosnących przy naszych szosach. I to zarówno dlatego, że korzenie drzew wyrządzają corocznie milionowe straty w nawierz-

chni dróg, jak i dlatego, że stanowią potencjalne zagrożenie życia ludzkiego przy wzmożonym ruchu samochodowym. Nie pomogą tu półśrodki, stosowane ostatnio w postaci sadzenia nowych drzew poza rowami szos. Każde drzewo, nawet za rowem, jest groźne, i dlatego w tym konflikcie sentymentu i rozsądku, jesteśmy za rozsądkiem.

Warto się nad tym naprawdę poważnie zastanowić.



...do znaków drogowych na terenie miasta Łodzi i województwa łódzkiego nie używa się farb odbłaskowych?

Jak donosiła prasa codzienna farby takie produkują się już w kraju i inne województwa (choćby nasz sąsiad — województwo warszawskie) używają takich farb do znakowania dróg na swoim terenie... Czy my musimy być tutaj na „szarym końcu”?

bitwa pod Grunwaldem rozegrała się w 1410 roku, nie zaś — jak poprzednio mniemaliśmy — w 1567...

W osadzie K... spadł z dachu — był to, na szczęście, dach niskiej stosunkowo obórki — zastępca dyrektora miejscowych zakładów przemysłowych na wiadomość, iż miejsce odwołanego dyrektora zajmie naturalnym rzeczą porządkiem — on, nie zaś osoba, przysłana z innego krańca Polski.

Jeszcze raz apelujemy do

obywateli, żeby nie komunikowali niektórych wiadomości swoim znajomym i bliskim w chwili gdy ci znajdują się na dachach!!!



## W sprawie zbiegowiska

Jak wiadomo, w dniu 2 lutego 1960 r. o godz. 19, na chodniku przed Klubem Między Prasy i Książki, jakiś osobnik w dostatnym futrze zatrzymywał przechodzące panie, czepując je wędłowskimi czekoladkami.

Ten sam osobnik, ale już bez futra, tego samego wieczoru, ale o godz. 21, zatrzymywał przechodzących panów, czepując każdego lampką francuskiego koniaku.

Niniejszym stwierdza się, iż wbrew uporczywie krążącym — a może nawet i w złej intencji kolportowanym? — pogłoskom, wzmian-

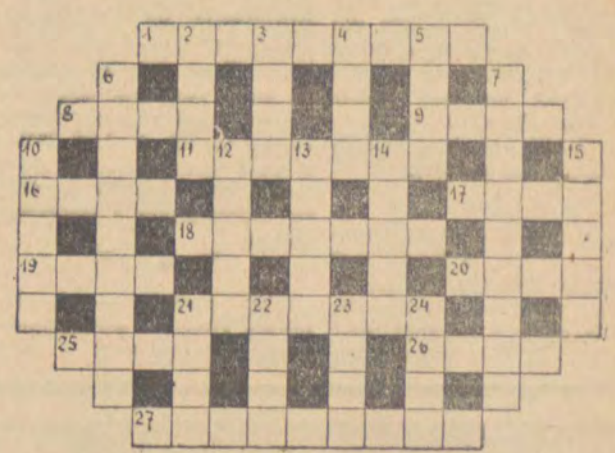
kowany osobnik nie ma nic wspólnego z osobą naczelnego redaktora „Mieszanińcy”.

Na liczne zapytania telefoniczne, gdzie i kiedy znowu nastąpi częstowanie czekoladkami oraz gdzie i kiedy nastąpi podobne częstowanie francuskim koniakiem — niestety, nie umieliśmy nic konkretnego powiedzieć.

**DO SZKIELEK DORABIAM ZEGARKI! PODNOSZE OCZKA NA ŁADNE DZIEWCZĘTA! ZYGMUŚ, ALE NIE FIJAS, tel. 324-678...**

Redaguje Zespół \* Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 \* Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. \* Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca \* Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 361. II. 1960 r. R-5

## NASZA KRZYŻOWKA



**Znaczenie wyrazów:**  
**Poziomo** — 1) Otwartość, prośoduszność, 8) Gazetek lekarskiej, przezroczystej tkaniny, 9) Persja 11) Kolor czerwony o odcieniu fioletowym, 15) Paragon, 17) Podława, podwalina, fundament, 18) Imię żeńskie, 19) Napój, 20) Ciastko, 21) Naczynia i sztuce stołowe, 25) Wzrok, 27) Bielmo.

**Pionowo** — 2) Pisz-z francuski, 3) Pierwsze danie, 4) Poprzeczne drzewo miasu służące do umocowywania ta-gla, 5) Brząsek, 6) Miasto powiatowe w województwie kieleckim 7) Kaprys, 10) Prawy dopływ Wisły, 12) Miasto powiatowe w województwie warszawskim 13) Stolica M-roka, 14) Największy dopływ Bugi, 15) Rezerwa, 21) Imię żeńskie, 22) Ptak, 23) Część świata, 24) Szansa powodzenia.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

**Rozwiązanie krzyżówki**  
**Poziomo** — habilitacja, biał, smok topolewa, lanca, swada, kompromis, neon, kare, harmonogram.  
**Pionowo** — agat, lato, trio, jama, absolwent, skafander, torchon, siewnik lazur, ko'ia, Oslo, saga.

Nasrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:  
**I. Irena i 'owska, Łódź, ul. Próchnika 22 m. 17, 2) Mieczysław Pawliński, Łódź, ul. Zeromskiego 44 m. 16,**

**odgłosy** str. 11



# BOHDAN BAER

# ŁÓDZCY aktorzy FILMOWI



— Czy zadowolony jest Pan ze swoich ról filmowych, co Pan myśli o swojej pracy w filmie? — pytam pana Bohdana Baera — aktora Teatru Nowego.

— Widzi pan, trudno jest mi mówić o sobie jako o aktorze filmowym, skoro właściwie nie grałem głównych ról. Moje role filmowe nie w większości były tylko epizodami. Praca moja w filmie zaczęła się pechowo „Pechem”.

— 777  
— Muszę panu przypomnieć, że kilka lat temu realizowany był film pt. „Pech”. Po dwóch miesiącach realizacji zdjęć plenerowych w Zakopanem z powodów bliżej mi nieznanych zaprzestano realizacji — widocznie pechowy tytuł zapeszył całe przedsięwzięcie. A właśnie w tym filmie powierzona mi była główna rola. Jedyną satysfakcją z „Pecha” to zimowy urlop, z którego aktorzy nie mają okazji prawie nigdy korzystać, ponieważ zimą sezon w teatrze trwa w pełni.

— Jednak po pechowym „Pechu” stanął Pan przed kamerą, w jakich to było filmach?

— Oto niektóre epizody, które pamiętam: w filmie reżysera Chmielewskiego „Ewa chce spać”, „Kłoskach szczęścia” Bohdziewicz, „Krzyżu walecznych” Kutza (w ostatniej noweli rola fryzjera), „Poczęcie gdańskiej” Rózewicza, wreszcie w „Awanturze o Basie” Kanielskiej w roli Michałka. Ten mój ostatni filmowy epizod wspominam z prawdziwą przyjemnością tak ze względu na rolę, jak współpracę z reżyserem i naszą najmłodszą

gwiazdką filmową — Małgosia Piaskarską. Ponadto w tej chwili gram epizodyczną rolę w nowym filmie reżysera Chmielewskiego „Walec pikowy”. Mój skromny udział aktorski mam w filmie realizowanym przez Wandę Jakubowską „Spotkania w mroku”. Nie pominieli mnie również realizatorzy „Krzyżaków”.

— Może przypomni Pan początki swej pracy aktorskiej, jak również zaznajomi nas z Pańską najbliższą premierą w teatrze?

— Jestem absolwentem Łódzkiej Szkoły Teatralnej im. L. Schillera. W roku jej ukończenia tj. w 1949 rozpocząłem pracę w nowo powstałym Teatrze Nowym grając w węgierskiej sztuce współczesnej „Bohaterowie dnia powszedniego”. Ważniejszymi moimi rolami teatralnymi, które utkwiły mi w pamięci były: rola Gąski w „Weseliu Figara”, Pieterka w „Don Juanie”, Winkelrida w „Świecie Winkelrida” oraz tytułowa rola w „Zywocie Józefa”. Obecnie próbuję rolę Arlekina w komedii Gozziego „Kruk”. Sztukę tę napisaną w stylu komedii dell'arte reżyseruje dyrektor Dejmek.

— Jakże było Pana największe przeżycie w związku z pracą w filmie?

— Siedzenie w pełnym rynsztunku strażackim na szupie telegraficznym w Sieradzu podczas trzydziestostopniowego upału i zakładanie girlandy.

Rozmawiał:  
A. Niemślałek



SYLVIA LOPEZ wystąpiła ostatnio w filmie „Hercules i królowa Lidia”, gdzie była partnerką Steve Keesesa, specjalisty od ról barczystych gladiatorów.



## KOLOROWYM ATRAMENTEM

W grudniu ub. r. typowaliśmy w „Mieszkańcu” jako film miesiąca — „Spisek bojarów” Sergiusza Eisensteina. W styczniu — amerykański film „Bukwar chodzącego stońca” z Gloria Swanson i Stroheimem. Niestety, w lutym „film miesiąca” nie zostanie proklamowany.

Nie udało się Centrali Wynajmu Filmów lutowy repertuar kin. Po dwóch miesiącach tłustych — nadszedł miesiąc chudy: spośród 17 premier zaledwie parę pozycji można polecić bez narażenia się na wyzwiska. Są w tej siedemnastce zdecydowane chyby, są filmy przeciętne i parę zupełnie dobrych — ale nie ma ani jednego filmu wybitnego. Owszem — był planowany na luty jeden wybitny film ale w ostatniej chwili premiera została odsunięta na później.

A jednak — mimo wszystko — mamy w lutym wydarzenie filmowe! Tylko — że nadeszło ze strony zupełnie niespodziewanej, od wydzawców. Oto pojawił się

w księgarniach trzeci tom „Historii sztuki filmowej” Jerzego Toeplitza kontynuacja jednej z nielicznych tego typu publikacji na świecie.

Nie czuję się kompetentny, by dokonywać krytycznej oceny tej pozycji. Ale wystarczy lektura paru rozdziałów (choćby tych o operetce amerykańskiej i awangardzie) — by stać się entuzjastą „Historii”. Może jeszcze wyraźniej niż w poprzednich tomach ujmuje czytelnika prostota wykładu, jego prawdziwie literackie walory. A nade wszystko budzi sympatie charakterystyczna skromność: książki Toeplitza, wstrzeźliwość w rozdawaniu laurów i ferowaniu wyroków. Tym łatwiej można tu było pozwolić sobie na pewną apodyktyczność ocen — bo mowa w tym tomie o dość zamierzchłych dziełach kinematografii, o okresie zamkniętym i podsumowanym.

Ołów właśnie — nie brakło jakości tej apodyktyczności inicjatorom dość

ostentacyjnej kampanii wybrzydzenia na polski film. Mam na myśli zdumiewającą podobnie w intencjach, zdumiewająco uzupełniającą się — i zdumiewająco równoczesną wypowiedzi Ireay Merz w „Życiu Literackim” i J. A. Szczepańskiego w „Filmie” — oba tygodniki z dnia 24 stycznia br. Merzowa i Szczepański — jakże jednoznacznie — wytykają polskim filmom niezajomość i ucieczkę od współczesności, oboje próbują rozwiązać rzekome opary kadzidla, w jakich tonie jakoby nasza kinematografia. Szczególnie dosadna jest wypowiedź w „Życiu”, gdzie czytamy zarzut „wychodzenia na przeciw zachodnim poglądom, pojęciom i gustom”. Mocno powiedziane — brzmi to prawie jak donos...

Interesujący jest też pasus Merzowej, która zarzuca profesorowi Toeplitzowi zmianę opinii o filmie „Kanał” po nagrodzeniu Wajdy w Cannes.

Mój Boże, czy to dyplomatycznie wypominać komuś zmianę poglądów?

J. W.

## EKRANIK

SUKCESU „PARYŻANKI” nie udało się powtórzyć! Francuską komedię „Czy chcesz tańczyć ze mną” zrealizował właśnie twórca „Paryżanki” Michel Boisrond, w głównych rolach wystąpiła sama para aktorów — Brigitte Bardot i Henri Vidal. A jednak: podobno (podajemy na odpowiedzialność krytyków francuskich) — film nie wyszedł. A nam przypomina się historia z coraz gorszymi „Anatomiami”...

PRZEZ KILKA LAT reż. Grzegorz Aleksandrow, twórca świetnych komedii („Cyrk”, „Świat się śmieje”, „Wiosna”) — szykował nowy film „Pamiętka z Rosji”. Ma to być pogodna opowieść o przygodach w ZSRR... amerykańskiego milionera. W licznej obsadzie aktorskiej „Pamiętki” spotykamy m.in. tak popularne nazwiska, jak Lubow Orłowa i Paweł Kadocznikow.

FRANCUZI ZDUBBINGOWALI wszystkie najlepsze filmy radzieckie ostatnich dwóch lat — wśród nich „Czterdziesty pierwszy”, „Lecą żurawie”, „Cichy Don”, „Matka”, „Dom w którym żyjemy”, „Idiota”, „Ilija Muromiec”. Radzieckim kolegom „pożyczają” głosy znani i wybitni aktorzy francuscy — na przykład Sergiusza Bondarczuka „podkłada” Andre Valmy, Tatianę Samojłową — Nadine Alari.

DONALD

HEIDI BRUHL — nowa gwiazda filmu niemieckiego

## ROZMOWY Z ZESPOŁAMI

### „KAMERA”

Ten najmłodszy, ale ciekawie zapowiadający się zespół istnieje dopiero od roku. Powstał artystyczna, to przede wszystkim dawni, młodzi realizatorzy dokumentu. Kierownik artystyczny „Kamery” — Jerzy Bosak — jeszcze w dalszym ciągu obejmuje kierownictwo artystyczne WFD. Spotykam go właśnie w czasie projekcji cyklu krótkometrażówek Tadeusza Jaworskiego o Afryce. Rozmawiamy o dotychczasowej produkcji „Kamery” i o planach.

— W 1959 roku — mówi reż. Bosak — zrealizowaliśmy „Lunatyków” Bohdana Poręby, „Wspólny pokój” Wojciecha Hassa i „Zezowate szczęście” Andrzeja Munka. „Lunatyków” już można oglądać w kinach, a „Wspólny pokój” i „Zezowate szczęście” — ukażą się na ekranach dopiero z początkiem marca.

Następną naszą pozycją będzie „Rok pierwszy” — film według scenariusza Ścibora-Rylskiego, reżyserowany przez Witolda Lesiewicza. Treścią filmu będą kłopoty władzy ludowej na wsi w 1945 roku. „Rok pierwszy” jest już właściwie w połowie zrobiony, ukaże się też niedługo. Ponadto chcemy realizować film na podstawie „Czarnych skrzydeł” Kadana-Bandrowskiego — scenariusz pisze Aleksander Ścibor-Rylski, reżyserię obejmą Hoffman i Skórzewski. Wreszcie Andrzej Munk przygotowuje się do filmu o młodzi, a Wojciech Hass — zgodnie ze swoim zwyczajem — do adaptacji, tym razem do adaptacji Czechowa.

Rozmawiał:  
ZKW



MARIA CIEŚIELSKA — staje się coraz popularniejszą aktorką polskiej kinematografii. Ostatnio grała w „Zezowatym szczęściu” Munka i „Powrocie” Passendyfera.